

## Medical Duo *romans i medycyna*

Gill Sanderson *Za horyzontem*

Po śmierci męża i ojca Abbey czuje, że musi zmienić środowisko. Rezygnuje z pracy w londyńskim szpitalu i udaje się do Szkocji, by sprawować opiekę medyczną nad ekipą pletwonarków. Już po paru dniach wyczuwa, że ich szef może stać się dla niej kimś bardzo ważnym. Oboje nie zdają sobie jednak sprawy, że łączy ich tajemnica, która zaważyła na życiu każdego z nich...

Josie Metcalfe *Rodzina ze snów*

Nick Howell czuje się niezręcznie, gdy pracując w szpitalu Świętego Łukasza podejmuje Libby Cornish, jego dawną narzeczoną, która przed laty go rzuciła. Nick do dziś nie może jej wybaczyć tego kroku. Nie wie, że Libby uległa wówczas wypadkowi, po którym straciła pamięć...



W tym miesiącu polecamy:

**Romans Duo**

Jackie Braun

*Weekend w Meksyku*

Shirley Jump

*Ranek przed kamerą*

HARLEQUIN

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-235-1036-1



CENA 12,70 zł.



**Gill Sanderson**

**Za horyzontem**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ktoś wtargnął w jej przestrzeń!

Poza tym jest cudownie. Nie straciła umiejętności nurkowania, a woda ma odpowiednią temperaturę. W radosnym podnieceniu wykonała parę przewrotów do tyłu i przesuwała się między wodorostami, które delikatnie muskały jej ciało. Wynurzała się szybkim ruchem na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, i opadała z powrotem w dół.

Teraz, rozluźniona i nieruchoma, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, pozwalała wodzie się unosić. Miała wrażenie, jakby tu, pod powierzchnią, nie działały prawa grawitacji. Nagle poczuła za sobą ruch wody, jednoznacznie świadczący o tym, że bardzo blisko znajduje się jakiś inny nurek. A przecież pragnęła być sama!

Zanim zdążyła się obrócić, by sprawdzić, kto się do niej zbliża, chwyciło ją pod pachę czyjeś ramię i zacisnęło się wokół klatki piersiowej. Została przyciągnięta do czyjegoś torsu, czyjeś nogi mocno uderzały wodę, a wolna ręka rozgarniała fale. Ktoś na siłę ciągnął ją na powierzchnię, choć ona wcale nie miała na to ochoty.

Cóż, skoro za wszelką cenę chce ją wydostać, nie spytawszy uprzednio o pozwolenie, ona mu w tym nie pomoże. Niech się mocije sam. Była zła, ale jak wszyscy nurkujący nauczyła się panować nad emocjami, nie wykonywać gwałtownych ruchów, nie podejmować pośpiesznych decyzji, jednym słowem - zachowywać spokój. To jest sposób na przeżycie pod wodą.

Była pewna, że trzyma ją mężczyzna. Kobieta opłynęłaby ją, by nawiązać kontakt wzrokowy. Poza tym nie miałyby takiej siły ruchów. Wreszcie z głośnym pluskiem wynurzyli się oboje na powierzchnię. Ktokolwiek to był, podtrzymał ją teraz jedną ręką, a drugą sięgnął po jej maskę.

Oczywiście domyślała się motywów postępowania mężczyzny. Zapewne sądził, że straciła przytomność i postanowił pospieszyć jej z pomocą. Cóż,

dobrze to o nim świadczy. Ale powinien był najpierw sprawdzić, czy się nie myli.

Zaczęła poruszać nogami i podniosła rękę, układając kciuk i palec wskazujący w znak kółka, stosowany przez pletwonurków na całym świecie sygnał, że wszystko w porządku. Ramię usunęło się z jej pleców. Spojrzała w twarz swemu potencjalnemu wybawicielowi.

No tak, mężczyzna. Odgarnął włosy z oczu i potrząsnął głową. Był trochę starszy od niej, mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Miał opaloną skórę i najbardziej ciemnoniebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. W jego głosie pobrzmiwał tłumiony gniew.

- Czy pani nie wie, że nurkowanie w pojedynkę jest niebezpieczne? Mogła pani zginąć. Abbey od nikogo nie potrzebowała lekcji bezpiecznego nurkowania. Podejrzewała, że jest takim samym ekspertem w tej dziedzinie jak ten mężczyzna.

- Po pierwsze - parsknęła - to było swobodne nurkowanie, bez oprzyrządowania. Po drugie, mam za sobą dziesięć lat praktyki i doskonale wiem, co jest, a co nie jest niebezpieczne. Po trzecie, zasięgnęłam informacji u tutejszych mieszkańców, którzy zapewnili mnie, że w tej zatoce nic mi nie grozi.

- Była pani pod wodą o wiele za długo! - Mężczyzna nie dawał za wygraną.

- Wiem, na ile mnie stać. Znam się na tym. Mężczyzna nie wydawał się przekonany.

- Ale kiedy po panią popłynąłem, wyglądała pani na nieprzytomną, była pani jakby zawieszona w wodzie.

Cóż, mógł odnieść takie wrażenie.

- Niekiedy lubię zrelaksować się w ten sposób - oznajmiła. - Po prostu przez parę sekund pozwolić wodzie, żeby mnie swobodnie unosiła. Pan tego nie robi?

- Nie. Mężczyzna powinien zawsze pamiętać o tym, że jego miejsce nie jest pod wodą.

- Kobieta również - odrzekła Abbey ostrym tonem.

Dopiero teraz zauważyła, że jej potencjalny wybawiciel nie ma na sobie kombinezonu nurka, a nawet kąpielówek. Zobaczyła białą koszulkę polo, a gdy spojrzała pod wodę, spostrzegła, że ma na sobie dżinsy. Był bosy.

- Myślał pan, że tonę, i wskoczył po mnie, tak jak stał - stwierdziła. - Że też udało się panu wyciągnąć mnie z tej głębiny bez płetw - dodała z niejakim podziwem.

- Dużo trenuję - wyjaśnił.

- Cóż, dziękuję. Rzeczywiście mogłam potrzebować pomocy. I przykro mi, że ma pan przeze mnie mokre ubranie - dokończyła z uśmiechem.

Wyschnie - stwierdził lakonicznie. - Zamierza pani jeszcze samotnie ponurkować?

Abbey miała na to ochotę, ale uznała, że w jej sytuacji byłoby to nietaktem wobec tego mężczyzny.

- Nie, chyba wystarczy - odparła. - Wracamy do brzegu?

Mężczyzna odwrócił się na brzuch i pomknął w kierunku plaży w zaskakująco szybkim tempie. Abbey, choć była wytrawną pływaczką, a w dodatku miała na nogach płetwy, z trudem za nim nadążała.

Dopłynęła do brzegu wkrótce po nim, zdjęła płetwy i maskę. Gdy podchodziła do swego niedoszłego wybawcy, ten akurat zdejmował przez głowę koszulkę. Zobaczyła muskularną klatkę piersiową i silne ramiona. Była lekarką, więc widziała niejednego dobrze zbudowanego mężczyznę. Ten jednak był zbudowany doskonale.

Przyjrzała mu się uważnie. Duże ciemnoniebieskie oczy łagodziły nieco rysy twarzy. W przeciwnym razie wysokie kości policzkowe, wyraziste brwi i cienkie wargi nadawałyby mu groźny wygląd.

- Doktor Abbey Fraser? - spytał.

- Tak. Skąd pan wie, jak się nazywam? - Popatrzyła na niego zdumiona.

- Przyjechałem tu, żeby się z panią zobaczyć. Abbey rozejrzała się dokoła i nagle poczuła się nieswojo. Plaża nad zatoką była pusta.

Trzy godziny wcześniej zjechała z głównej szosy do Aberdeen i skierowała się w stronę morza, do portowego miasteczka Dunlort. Zaparkowała na szczycie wzgórza, wysiadła z samochodu i po raz pierwszy poczuła orzeźwiający zapach morskiego powietrza.

Była rozgrzana i spocona. Podróż z Londynu do Szkocji trwała długo, ale warto było się trudzić. Abbey musiała wyrwać się z miasta, ze szpitala, uwolnić od hałasu, zaduchu i ciągłego pośpiechu. Potrzebowała nowego życia i być może właśnie teraz je zacznie.

Przez ostatnie osiemnaście miesięcy pracowała na pełnym etacie na oddziale ratunkowym i opiekowała się ojcem, którego stan nieubłaganie się pogarszał. Była szczęśliwa, że nie ma czasu na życie towarzyskie. Kiedy jednak ojciec zmarł, to choć pogrzyżała się w rozpacz, musiała przyznać, że ta śmierć stanowiła wybawienie.

Dwa lata wcześniej pochowała męża, ale... Zadrżała. To całkiem inna historia.

Teraz zaczyna wszystko od początku.

Popatrzyła na rozciągający się w dole port. W przystani stał zacumowany dawny trawler. Domyśliła się, że to „Hilda Esme”, statek, który przez najbliższe sześć czy osiem tygodni będzie jej miejscem pracy, a często i domem. Sprawiał wrażenie sprawnego i zdatnego do żeglugi.

Za dwa dni miała zgłosić się do pracy. Zarezerwowała więc pokój w hotelu, by najpierw zapoznać się z miasteczkiem i pozwiedzać trochę okolicę. Od razu poczuła, że to miejsce będzie balsamem na jej duszę.

Pokój w hotelu był wygodny i przytulny. Wyjęła z torby zdjęcia ojca, brata i dwóch bratanic. Rodzina brata mieszkała na Florydzie, lecz Abbey utrzymywała z nią bardzo bliskie kontakty. Włączyła laptopa i sprawdziła

skrzynkę. Nie było żadnej nowej poczty. Kiedy spojrzała przez okno na cudownie błękitne morze, uznała, że musi popływać.

- Proszę pójść około dwóch kilometrów plażą na południe - powiedział właściciel hotelu. - Jest tam zatoczka, wprost idealna do nurkowania.

- Zatoka jest bezpieczna? - upewniła się.

- Jak najbardziej. Kiedyś zajmowałem się rybołówstwem, więc znam tutejsze wody. Ale pani potrafi nurkować? - Spojrzał na nią trochę zaniepokojony.

- Przeszłam szkolenie, proszę się nie obawiać - uspokoiła go. - Będę lekarzem płetwonurków na „Hildzie Esme”.

- To mi wystarczy. - Mężczyzna skinął głową. Abbey spakowała płetwy i maskę, resztę sprzętu, kombinezon. Przyjechała tu co prawda po to, by pracować, ale nie wykluczała, że nadarzy się okazja do nurkowania. Kto wie? Zaczyna przecież nowe życie.

A tymczasem jej nowe życie zapoczątkowała sprzeczka z wyraźnie zirytowanym mężczyzną.

- Skąd pan wie, jak się nazywam? - rzuciła gniewnie.

Mężczyzna zdawał się świadomy jej obaw. Uśmiechnął się i znacznie złagodniał. Ten uśmiech całkowicie go odmienił. Nagle Abbey poczuła, że jest jej przyjacielem i też zapragnęła się z nim zaprzyjaźnić.

- Don McBeth, właściciel hotelu, podał mi pani nazwisko. Pewnie myślał, że chcę z panią porozmawiać. I rzeczywiście tak jest.

- Pan chce ze mną porozmawiać? - zdziwiła się Abbey.

- Będziemy razem pracować. - Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. - Pani jest tą lekarką, która będzie mieć pieczę nad płetwonurkami na „Hildzie Esme”, prawda? Jestem John Cameron - przedstawił się. - Instruktor i szef płetwonurków na „Hildzie”. Możemy mówić sobie po imieniu?

- Jasne. Miło mi cię poznać, John. - Abbey potrząsnęła jego ręką, wyraźnie zaskoczona.

Uściskał jej dłoń mocno, ale nie boleśnie. Spotkała zbyt wielu mężczyzn, którzy ściskając jej palce, chcieli podkreślić swoją męskość. Ten nie musiał tego robić.

- Przepraszam za moje zachowanie - usprawiedliwił się. - To mógł być dla ciebie szok, gdy nagle ktoś pociągnął cię na powierzchnię. Ale jestem instruktorem i mam lekkiego bzika na punkcie bezpieczeństwa.

- Bzik godny pochwały - przyznała.

Nagle uzmysłowiła sobie, że prowadzi miłą pogawędkę z półnagim mężczyzną, sama ubrana tylko w kostium kąpielowy. To prawda, są na plaży, ale... Podeszła do kamienia, na którym złożyła swoje rzeczy, wzięła ręcznik i rzuciła go mężczyźnie.

- Możesz sobie wytrzeć włosy, jeśli chcesz.

- Wyschną. - John odrzucił ręcznik. - Zresztą słońce mocno grzeje. Ale ty powinnaś się przebrać. Możemy wrócić do miasta razem - zaproponował.

Abbey przebrała się za występem skalnym. Natychmiast po powrocie do hotelu weźmie prysznic, a na razie musi jakoś ułożyć włosy. Pomyślała nawet, czy by nie pociągnąć ust szminką, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

Kiedy wyszła zza skały, John siedział tyłem do niej i patrzył w morze. Przez jedną krótką chwilę podziwiała jego umięśnione plecy i ramiona. Usiadła obok niego, zachowując bezpieczną odległość.

- Długo pracujesz na „Hildzie”? - spytała.

- Nie. Od tygodnia. Zlecono mi tę pracę przez agencję.

- Jesteś zawodowym instruktorem?

- Jestem płetwonurkiem. - Wzruszył ramionami.

- Jadę tam, gdzie jest praca. Będę też pracował dla ciebie. Przeszedłem szkolenie na ratownika morskiego, więc w razie potrzeby będę ci służył pomocą.

- Nie będziesz pracował dla mnie, tylko ze mną - skorygowała Abbey. - Już wcześniej miałam do czynienia z ratownikami szkolonymi na potrzeby



marynarki. Są doskonali. - Zastanowiła się przez chwilę. - Podczas rozmowy kwalifikacyjnej powiedziano mi, że na pokładzie jest komora ciśnieniowa i technik, który ją obsługuje. Nie mów mi, że to też ty?

- To ja - odrzekł John ze śmiechem. - Majster do wszystkiego. Obsługuje też kompresor, który napędza butle powietrzem.

Przyjemnie tak siedzieć w słońcu, pomyślała Abbey, i prowadzić swobodną rozmowę na tematy zawodowe. Nie ma tego pośpiechu, który nieodłącznie towarzyszył jej w poprzedniej pracy, poczucia, że jeśli nie zrobi się czegoś natychmiast, to nie zrobi się nigdy. Intuicja mówiła jej, że polubi pracę z Johnem.

- Mam nadzieję, że nie będziesz mnie denerwował uwagami, że to nie jest zajęcie dla kobiety.

- Spojrzała na niego z ukosa.

- Nie. Jeśli znasz się na robocie, będę szczęśliwy, pracując z lekarzem kobietą. Co więcej, jeśli wynikną jakieś problemy z załogą, załatwię to. Ale myślę, że nic takiego się nie zdarzy.

- Nie, John. - Uśmiechnęła się. - Sama to załatwię. Jeśli sobie nie poradzę, zrezygnuję z tej pracy.

- Podejrzewam, że sobie poradzisz. Oni nie są źli.

- Zawahał się na sekundę. - Mogę spytać... jak to się stało, że zdecydowałaś się na taką specjalizację?

- Nurkowałam, to znaczy nadal nurkuję amatorsko. Jako lekarz zrobiłam dodatkową specjalizację z medycyny morskiej ze szczególnym uwzględnieniem nurkowania.

Abbey przerwała na chwilę, po czym zdecydowała, że powie Johnowi prawdę.

- Właściwie do tej pracy nie jest potrzebny lekarz, wystarczy odpowiednio przeszkolony ratownik, taki jak ty. Mogłabym zarabiać dwa razy więcej,

pracując nadal na oddziale ratunkowym. Ale potrzebowałam odmiany. Zresztą zostanę tu tylko przez parę tygodni.

- Ja lubię krótkie kontrakty - oświadczył John. Spojrzał na jej ręce i zmarszczył czoło. - Nie swędzi cię palec? - spytał. - Nie poparzyła cię przypadkiem meduza?

Abbey podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i też zmarszczyła czoło.

- To ślad po obrączce - wyjaśniła. - Przestałam ją nosić miesiąc temu.

- Byłaś mężatką? - zainteresował się John. - Rozwiodłaś się? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie masz ochoty. Nie chcę być niedyskretny.

- Mój mąż zmarł - odrzekła Abbey po chwili milczenia. - To było jakiś czas temu, a zresztą nasze małżeństwo i tak się rozpadało. Nie rozpaczam, ani nic w tym rodzaju. Nie chcę wracać do przeszłości. Żyję teraźniejszością.

- Brzmi to rozsądnie - zauważył John. - Dlaczego w takim razie nosiłaś tak długo obrączkę?

- Mój ojciec chorował, poświęcałam mu cały wolny czas - odparła. - Pracowałam w szpitalu. Obrączka chroniła mnie przed mężczyznami, którzy chcieli się ze mną umówić.

- A jak teraz czuje się twój ojciec?

- Zmarł parę tygodni temu. Bardzo mi go brakuje, ale muszę zacząć nowe życie.

- Serdecznie współczuję. - John pochylił głowę.

- Myślę, że podjęłaś słuszną decyzję. Trzeba żyć chwilą obecną, a nie przeszłością.

Wstał i się przeciągnął, Abbey zaś po raz kolejny musiała odwrócić wzrok od jego klatki piersiowej. Jakoś dziwnie ją ten widok rozpraszał.

- No, dobrze się z tobą rozmawiało, Abbey - dodał po chwili - ale mam robotę. Muszę sprawdzić, czy sprzęt na statku był właściwie używany i czy wszystko jest w porządku, żebyśmy mogli przystąpić do pracy.

Abbey skinęła głową. Płetwonurkowie często mają obsesję na punkcie swego ekwipunku. Bez przerwy sprawdzają, czy jest w porządku. Niezawodność sprzętu jest jednym z podstawowych warunków ich bezpieczeństwa.

- Ja chyba jeszcze posiedzę chwilę na słońcu i poczytam - powiedziała. - Co prawda pracę powinnam podjąć dopiero za dwa dni, ale zadzwonię do kapitana i powiadomię go, że już jestem. Cieszę się, że się poznaliśmy, i że będziemy razem pracować

- dodała z uśmiechem. - I obiecuję, że nie będę już dzisiaj wchodzić do wody.

- To dobrze. Podczas nurkowania zawsze powinien ci ktoś towarzyszyć. - John włożył espadryle i zarzucił na ramiona wilgotną koszulę. Wyglądał na trochę zdenerwowanego. - Zwykle przed snem idę jeszcze na drinka - rzucił. - W porcie jest taki bar, nazywa się „Zagubiony statek”. To miejsce spotkań płetwonurków. Pomyślałem, że będę ich miał na oku, żeby nie przeholowali.

- Rzeczywiście, skacowanych nurków ci nie potrzeba - przyznała Abbey.

- Żebyś wiedziała. A może byś też wpadła na drinka? - zaproponował. - Przy okazji poznasz chłopaków. Chyba że wolisz, żebym przyszedł do twojego hotelu i tam poszlibyśmy do baru? Skoro mamy razem pracować, to powinniśmy się lepiej poznać, nie sądzisz? Oczywiście, o ile masz ochotę. Może jesteś zmęczona...

Abbey podobało się, że w zręczny sposób podsunął jej pretekst do odmowy. Świadczy to o jego takcie i delikatności. Zresztą naprawdę jest zmęczona, ale...

- Lepiej się poznać, powiadasz? - Zerknęła na niego kątem oka. - Jako koledzy, czy jako mężczyzna i kobieta?

- Może być i tak, i tak, albo jedno z dwojga - odparł.

Rozsądniej byłoby wstrzymać się dzień lub dwa z tym drinkiem, pomyślała. Dopiero się poznali, będą razem pracować i... Ale przecież zaczyna nowe życie.

- Spotkamy się wieczorem w barze hotelowym - zdecydowała.

- Będę czekał - rzucił John, odchodząc. Odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej

z pola widzenia. Hm... Moje nowe życie zaczyna się wyjątkowo szybko, pomyślała.

Miała ze sobą książkę, którą chciała poczytać na plaży, zabrała nawet krem do opalania. Ale nie mogła się skupić. W końcu zarzuciła torbę na ramię i rozejrzała się dokoła. Na szczyt klifu prowadziła z zatoczki zarośnięta ścieżka. Postanowiła pójść nią i zbadać teren.

Na szczycie zauważyła drugą, jeszcze bardziej zarośniętą dróżkę. Idąc nią, napawała się otaczającą ją sceną. A że miała ze sobą aparat cyfrowy, więc fotografowała po drodze skały, ptaki, morze. Wieczorem prześle zdjęcia do rodziny na Florydzie.

Po około piętnastu minutach skręciła i znalazła się w miejscu, z którego rozciągał się niewiarygodny widok. Na pobliskim cyplu wznosiły się ruiny zamku otoczone z trzech stron morzem, a dostępne jedynie po pokonaniu podejrzanie wyglądającego mostu. Całość sprawiała niezwykle romantyczne wrażenie. Abbey chwyciła aparat i kopnęła przy tym niechcący torbę, która stoczyła się i znikła w zaroślach. Żeby ją odzyskać, musiała ostrożnie zsunąć się w dół.

Okazało się, że prawdopodobnie i tam była kiedyś ścieżka, ułożona z kamieni, które umożliwiały w miarę pewne stawianie stóp. Gdy Abbey znalazła się na dole i sięgnęła w zarośla po torbę, otworzyła szeroko oczy. Zobaczyła, że skała załamuje się, tworząc jakby małą kryjówkę, przed którą znajduje się siedzisko z kamienia.

Wzięła torbę, usiadła i oparła się plecami o skałę. Obserwowała zamek na cyplu i zastanawiała się, kto pierwszy przybył do tej samotni. Może jakiś mieszkaniec zamku w średniowieczu? To możliwe. Z całą pewnością jednak nikt nie zaglądał tutaj od lat.

Postanowiła chwilę posiedzieć w tym miejscu. Słońce grzało jej twarz, wokół panowała kojąca cisza. Czowała się bezpieczna, daleka od zgiełku świata. Zamknęła oczy i zamyśliła się nad pierwszym dniem swego nowego życia. A ten dzień jeszcze się nie skończył!

Dlaczego najpierw skupiła się na osobie Johna, a nie na przyszłej pracy czy Szkocji? John sprawiał wrażenie sympatycznego, choć było w nim coś groźnego. Musiała przyznać, że się jej podobał. Pod względem fizycznym był bez zarzutu, ale to nie miało dla niej szczególnego znaczenia. Miał poczucie humoru, poza tym była w nim jakaś łagodność i bezpośredniość, a ostatnio nie spotykała wielu mężczyzn o tych cechach.

Kiedy pracowała w szpitalu, umawiała się z kilkoma znajomymi, zorientowanymi w jej sytuacji osobistej. Ale na dłuższą metę żaden z tych związków się nie utrzymał. Mężczyźni albo byli zbyt zajęci pracą, albo nie potrafili dostosować się do jej z konieczności chaotycznego trybu życia. Abbey nie przejmowała się przesadnie kolejnymi rozstaniem. Prawdę mówiąc, nie miała czasu na mężczyzn.

Teraz jednak miałyby czas, gdyby zainteresowała się jakimś mężczyzną. I stwierdziła, że takim mężczyzną jest John Cameron. Podejrzewała, że i on jest nią zainteresowany. To dużo jak na jedno krótkie spotkanie, pomyślała. Postanowiła jednak zachować ostrożność. W Johnie dostrzegła pewne podobieństwo do zmarłego męża. Może był to sposób, w jaki patrzył na morze, albo uśmiech, który błąkał mu się na ustach...

Miał twarz mężczyzny, który łaknie podniet, który chce wiedzieć, co znajduje się poza horyzontem, który nigdy nie podjąłby pracy wymagającej osiedlenia się w jednym miejscu. Nie chciała po raz drugi wiązać się z takim

człowiekiem. Zdecydowała więc, że da sobie z nim spokój. Poprzestanie na dzisiejszym drinku. A jednak... on jest taki przystojny.

Przerwała te rozmyślania, uznawszy, że pora wracać. W drodze do hotelu doszła do wniosku, że jej nowe życie może się okazać całkiem ekscytujące.

W hotelu wzięła prysznic, umyła włosy i przebrała się. Szybko coś zjadła w restauracji hotelowej i wróciła do pokoju. Zastanawiała się, co powinna na siebie włożyć. Chciała wyglądać kobieco. Uważała, że w pracy również należy podkreślać swoją płęć. Nie ma nic gorszego, niż udawać kumpla wobec mężczyzn, z którymi się pracuje. Z drugiej strony nie chciała się zanadto wystroić. To ma być przecież niezobowiązujące spotkanie dwojga ludzi, którzy być może zostaną przyjaciółmi, ale którzy z całą pewnością będą razem pracować.

Mimo wszystko nie była w stanie opanować lekkiego podniecenia. Po dłuższym wahaniu zdecydowała się na niebieską sukienkę z bawełny. Trochę czasu zajęło jej zrobienie makijażu i w końcu stwierdziła, że wygląda nieźle. Zeszła do holu, zamierzając jeszcze przejrzeć gazety, ale okazało się, że John już czeka.

On również zadał sobie nieco trudu, by wyrzeć na niej wrażenie. Miał na sobie popielate spodnie, białą koszulę i jasną lnianą marynarkę. Widziała, że kobiety zwracają na niego uwagę.

- Nie jestem pewien, czy tak wygląda lekarz pokładowy - zażartował, podchodząc do niej. - Stanowczo za atrakcyjnie. Większość lekarzy, z jakimi stykałem się na statkach, to były rosłe chłopiska z mocno przerzedzonymi włosami.

- Daj mi trochę czasu. Jeszcze nabiorę odpowiedniego wyglądu. Zresztą ty też nie przypominasz w tej chwili typowego pletwonurka - zauważyła.

- Jak powiedziałaś, daj mi trochę czasu. Pójdziemy do baru czy wolisz usiąść na tarasie?

- Jest jeszcze ciepło, chodźmy na dwór - powiedziała.

John poprowadził ją na taras z widokiem na ogród i zamówił dla niej kieliszek białego, a dla siebie czerwonego wina.

- Nie martwi cię, że będziesz jedyną kobietą na statku pełnym mężczyzn?  
- spytał.

- Wcale. - Abbey wzruszyła ramionami. - Jestem profesjonalistką, wiem, co mam robić. Nie przejmuję się głupimi żartami, ale jeśli ktoś myśli, że może iść na skróty, ignorować moje zdanie, to się grubo myli. Zakwestionuję jego licencję pletwonurka.

- Zrobiłabyś to? - spytał ze zdziwieniem.

- Może będziesz miał okazję się przekonać. Mam takiego samego bzika na punkcie bezpieczeństwa jak ty.

- A więc będziesz do nich pasować - odrzekł. - Chłopcy są w porządku. Znowu pocierasz miejsce po obrączce - dodał innym tonem. - Często myślisz o mężu?

Abbey była na siebie zła. Trudno jej było wyjaśnić, że to zwykły odruch, nie mający nic wspólnego ze wspomnieniami.

- Bardzo rzadko - odparła. - Nie ma do czego wracać, zresztą to już przeszłość. Chcę żyć chwilą obecną. Nienawidzę rozpamiętywania własnych błędów, zastanawiania się, co by było, gdyby...

- Pewnie masz rację - zgodził się John. - Jutro jest pierwszy dzień reszty twojego życia. Ja też chcę zapomnieć o swojej przeszłości. Jeśli mi się uda.

- Opowiedz mi o statku - poprosiła, chcąc zmienić temat. - Nie mogę się już doczekać, kiedy przystąpię do pracy.

- A więc zacznijmy od góry, czyli od najważniejszej osoby: kapitana. Nazywa się Farrow i służył niegdyś w Królewskiej Marynarce Wojennej. Nie toleruje niedbalstwa ani bezmyślności. Jest dobrym dowódcą. Jeśli wywiązujesz się jak należy z obowiązków, możesz na niego liczyć. Jeśli nie, pożegnasz się z robotą.

- Zadzwoiłam do niego po spotkaniu z tobą - rzekła Abbey. - Umówiłam się, że jutro wpadnę, aby pogadać. On chciałby zacząć nurkowanie pojutrze, więc pytał, czy mogłabym podjąć pracę już jutro po południu. Zgodziłam się.

- Właściwa decyzja - pochwalił John. - Kapitan to doceni.

- Sprawił na mnie dobre wrażenie - przyznała. - Nie nalegał. Ale co dokładnie będziemy jutro robić? Chciałabym znać więcej szczegółów.

- To dość proste zajęcie... - zaczął John.

Spędzili ze sobą miły wieczór. Rozmawiali przeważnie o przyszłej pracy, nie wracając już do przeszłości.

- Jesteś zmęczona - zauważył po pewnym czasie.

- Trzymam cię tutaj, a przecież powinnaś się położyć. Przebyłaś dziś kawał drogi.

- Miło mi się z tobą gawędzi, ale chyba masz rację - przyznała Abbey, nie będąc w stanie powstrzymać ziewania. - A zatem dobrej nocy.

Uścisnęli sobie dłonie. Nie chciała, by ją pocałował, ani nie chciała pocałować jego. Może kiedyś... Albo i nie.

- Dziękuję za miły wieczór, Abbey. Dobranoc.

- John zawahał się. - Powodzenia w nowym życiu

- dodał.

Abbey wróciła do pokoju, rozebrała się i poszła prosto do łóżka. Przez chwilę jeszcze leżała i myślała o Johnie. Polubiła go, ale go przecież nie zna. W jego zachowaniu jest pewna rezerwa i dziwna powściągliwość.

Cóż, czas wszystko pokaże. Jutro zaczyna pierwszy dzień nowego życia. Zasnęła z uśmiechem na ustach.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Abbey powiedziała Johnowi, o której będzie na nabrzeżu, więc jeden z członków załogi czekał na nią przy motorówce. Miała na sobie spodnie, sportową koszulę i marynarkę, w ręku trzymała neseser. Uważała, że wygląda bez zarzutu. Nie mogła się już doczekać, kiedy znowu zobaczy Johna.

Statek zrobił na niej wrażenie. Dawny trawler przerobiono w sposób niezwykle staranny. Poza tym aż lśnił czystością. Nic się tu nigdzie nie walało, wszystko miało swoje miejsce. Znać było rękę kapitana marynarki wojennej.

Kiedy weszła po trapie na pokład, pierwszą osobą, którą zobaczyła, był John. Miał na sobie niebieski roboczy kombinezon, poplamiony na rękawie smarem. Abbey nie mogła oprzeć się wrażeniu, że we wszystkim, co John na siebie włoży, wygląda doskonale. Po ustach błąkał mu się lekki uśmiezek.

- Kapitan został nagle wezwany do dyrekcji -oznajmił. - Prosił, żeby go usprawiedliwić. Przywita cię w jego zastępstwie pierwszy oficer. Zaprowadzę cię do niego.

Teraz już była pewna, że Johna coś rozbawiło.

- Miło wspominać nasz wczorajszy wieczór - dodał, gdy szli na mostek kapitański. - Dobrze spałaś?

- Dziękuję, bardzo dobrze - odrzekła. - Nie wiem, czy podoba mi się sposób, w jaki się uśmiechasz. Co cię tak bawi?

- Nic. - Popatrzył na nią z niewinną miną. - Po prostu cieszę się, że dołączyłaś do załogi. - Otworzył drzwi i wprowadził ją na mostek. - Pozwól, że przedstawię ci naszego pierwszego oficera. Larry Kent.

Abbey spojrzała na Larry'ego i westchnęła. Zrozumiała, skąd ten uśmiezek. Spotkała Larry'ego już wcześniej, spotkała dziesiątki takich Lanych. Kapelusz zawadiacko przekrzywiony, pewna siebie mina. Lany był pozeraczem niewieścich serc. I wyglądało na to, że uszczęśliwiła go swoim przybyciem.

Chwycił obiema rękami jej dłoń.

- Abbey! - wykrzyknął. - Jak się cieszę, że cię poznałem. Czyż nie jesteśmy szczęściarzami, że mamy na pokładzie taką piękną kobietę? - Zerknął na Johna.

- Na pokładzie jestem lekarzem - oświadczyła Abbey, uwalniając dłoń. - I oczekuję odpowiedniego traktowania.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie Larry. - Jestem pewien, że masz znakomite kwalifikacje. Ale będziemy razem pracować, musimy się poznać. Posłuchaj, kapitan powiedział, że chce osobiście wdrożyć cię w twoje obowiązki. Ale zanim to nastąpi, możemy jeszcze wiele spraw omówić we dwoje. Co byś powiedziała na wspólną kolację dziś wieczór?

Abbey umknęła wzrokiem w bok - John wciąż miał na ustach zagadkowy uśmiech. Teraz już wiedziała, co go wywołało.

- Z ogromną chęcią poszłabym z tobą na kolację, Larry - oświadczyła - ale umówiłam się już wcześniej z Johnem.

Zauważyła, że uśmiech znikł z twarzy Johna, a on sam wyglądał na lekko zakłopotanego.

- Znacie się? - zdziwił się Larry, zbity z tropu.

- Od pewnego czasu - wyjaśniła Abbey. - A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żeby John oprowadził mnie po statku i pokazał gabinet lekarski.

- Oczywiście - zgodził się pospiesznie Larry. - Jestem pewien, że będziemy mieli jeszcze niejedną okazję, żeby się lepiej poznać.

- Wiedziałaś, co to za facet z tego Larry'ego, prawda? - zwróciła się do Johna, gdy szli pokładem. - Wiedziałaś, że będzie próbował mnie podrywać. To cię tak rozśmieszyło. Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Nie miałem wątpliwości, że dasz sobie radę. Chciałem to zobaczyć na własne oczy - rzekł ze śmiechem.

- Będę z nim miała jakieś problemy? - spytała zaniepokojona.

- Nie, ty jesteś twarda, załatwisz go. O co chodzi z tą naszą kolacją dziś wieczór?

- Cóż, skoro miałam do wyboru kolację z tobą albo z Larrym, wybrałam ciebie. Ale to była trudna decyzja.

- Hm, wątpliwy komplement - mruknął John, otwierając drzwi do gabinetu lekarskiego. - Oto twoje królestwo.

Abbey weszła i zaniemówiła z wrażenia. Zobaczyła specjalistyczny gabinet zabiegowy wyposażony we wszystko, co jest potrzebne do udzielenia pierwszej pomocy. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej powiedziano jej, że ewentualne poważne przypadki będą kierowane do szpitala. A jednak nie oszczędzono środków na wyposażenie gabinetu.

- Komora ciśnieniowa jest tutaj. - John otworzył następne drzwi: - Tylko na jedną osobę, ale bardzo dobra. Jedna z tych nowoczesnych, amerykańskich.

Abbey zajrzała do środka. Komora sprawiała trochę niesamowite wrażenie. Wąskie łóżko było przykryte chmurą przezroczystego plastiku i podłączone do chromowanej maszyny oraz aparatury kontrolnej.

Wiesz, jak z tego korzystać? - spytał John.

Odbyłam specjalne przeszkolenie - odparła. -Jeśli ty potrafisz ją obsługiwać, to ja potrafię z niej korzystać.

W porządku. Co jeszcze miałbym ci pokazać?

- Na razie nic. Chciałabym trochę się rozejrzeć.

Abbey została zatrudniona jako lekarz pokładowy, ze szczególnym uwzględnieniem płetwonurków. Kapitan Farrow był szefem, Larry'emu podlegała załoga, John odpowiadał za płetwonurków i sprzęt.

Kapitan uzgodnił z Johnem, że po południu mają się zebrać wszyscy płetwonurkowie i poddać badaniu lekarskiemu. Przed przystąpieniem do nurkowania każdy musi przedłożyć zaświadczenie o stanie zdrowia, wydane przez oficjalnego lekarza zatwierdzonego przez urząd do spraw zdrowia i bezpieczeństwa.

Wszyscy płetwonurkowie mieli takie zaświadczenia. Abbey posiadała ich fotokopie i zapoznała się z nimi przed przystąpieniem do badań.

- Czy chcesz, żebym był obecny podczas badania? - spytał John.

- Jako przyzwoitka? Moja czy ich? - Abbey zerknęła na niego kpiąco. - Tak, myślę, że to dobry pomysł - dodała poważnie. - Odpowiadasz za nich, więc powinienesz wiedzieć możliwie jak najwięcej o ich kondycji fizycznej. Ale nie przychodź do mojego gabinetu w roboczym kombinezonie - zastrzegła.

- Dobrze, pani doktor.

Abbey radziła sobie całkiem nieźle. Każde badanie poprzedzała zreferowaniem swoich kwalifikacji. To bardzo ułatwiało dalsze postępowanie. Właściwe badanie lekarskie zaczynało się typowo - od osłuchania, zmierzenia tętna i ciśnienia. Potem sprawdzała wydolność układów krążenia i oddechowego. Szczególną uwagę zwracała na uszy, nos, gardło, a nawet stan uzębienia.

Po badaniu prowadziła pięciominutową rozmowę z każdym płetwonurkiem, chcąc się dowiedzieć, czy ostatnio nie chorował i ile ostatnio pracował. A także, czy nie był za granicą. Starła się także dowiedzieć, czy nie miał jakichś problemów osobistych, które mogłyby rzutować na jego ocenę sytuacji. Zawodowe nurkowanie wymaga pełnej koncentracji.

Badania przebiegały gładko aż do momentu, kiedy wszedł przedostatni z mężczyzn, Dave Evans. Abbey potraktowała go tak samo jak poprzednich, przez cały czas go obserwując. Pamiętała słowa swego profesora, że nic, co mówi pacjent, nie powinno jej zaskoczyć. Dobry lekarz często wie, co dolega pacjentowi, jeszcze zanim ten zdąży otworzyć usta. Ciało jest książką, którą trzeba nauczyć się czytać.

Abbey nie podobało się to, co wyczytała z ciała Dave'a. Przynajmniej był najstarszy z mężczyzn, stosunkowo tęgi, miał lekko obrzmiałą twarz z niezdrowymi wypiekami. Miał też trudności z oddychaniem, choć starał się to ukryć. Ważność jego zaświadczenia lekarskiego upływa za pięć tygodni.

- Dlaczego nie przedłużył pan zaświadczenia? -zapytała. - Wkrótce straci ważność.

- Jakoś się nie złożyło. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Dużo czasu spędzałem z rodziną.

- Czy nie chorował pan poważnie w ciągu ostatniego roku? - dociekała Abbey. - Czy w ogóle pan chorował?

- Byłem kilka razy przeziębiony. - Mężczyzna machnął lekceważąco ręką. - Ale to się każdemu zdarza.

- Owszem - zgodziła się Abbey. - A teraz proszę zdjąć koszulę, zmierzę panu ciśnienie.

Owinęła rękawem aparatu jego ramię, gdy rozległo się pukanie do drzwi. John poszedł zapytać, o co chodzi.

- Dostarczyli sprzęt na nabrzeże - poinformował ją po chwili. - Powinienem wszystko sprawdzić, zanim wniosę to na pokład. Jeśli nie masz nic...

- Poradzę sobie, John - wpadła mu w słowo. -Zresztą zaraz kończę. Porozmawiamy później.

Gdy John wyszedł, poczuła się nagle opuszczona i samotna. Choć w niczym jej nie pomagał, sama jego obecność dobrze na nią działała. A teraz potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie podobały się jej trzaski w klatce piersiowej Dave'a. Osluchwała go ponownie. Rozmyślała przez chwilę, jeszcze raz analizując wyniki badania.

- Muszę pana zmartwić, Dave - powiedziała wreszcie. - W tym stanie nie może pan nurkować. Musi się pan wstrzymać co najmniej przez tydzień. Obawiam się o pana płuca...

- Obawia się pani! - prychnął Dave. - Od dwudziestu lat jestem nurkiem i zawsze byłem sprawny. Nikt na mnie nie narzekał. Czuję się dobrze, pani doktor. Nurkowałem, kiedy czułem się tak jak teraz i nie widzę powodu, czemu nie miałbym nurkować razem z innymi. Niech się pani zastanowi - ciągnął,

uspokoiwszy się nieco. - To nie jest takie straszne nurkowanie. Jakieś trzydzieści metrów to dla mnie płycizna. Jak nic, poradzę sobie.

- Jest powód, dla którego nie powinien pan nurkować - westchnęła Abbey.  
- Ma pan w płucach bardzo dużo śluzu. Ryzykowałby pan życie, więc zalecałabym...

- Może sobie pani zalecać, co chce! - zaperzył się Dave. - Znajdę lekarza, który nie będzie świeżo u-pieczoną absolwentką medycyny.

Wypadł z gabinetu, zatrzasnąwszy z hukiem drzwi. Abbey znowu westchnęła. Na badanie czekał jeszcze jeden nurek, ale musiała zrobić sobie przerwę.

- Przyjmę ostatniego pacjenta za piętnaście minut - zawołała, otwierając drzwi i nie czekając na odpowiedź, szybko je zamknęła.

Nie była zaskoczona, gdy za dziesięć minut usłyszała pukanie, ale zdziwił ją widok Larry'ego obok Dave'a.

- Możemy zamienić słówko, Abbey? - spytał Larry z lekkim zakłopotaniem. - W zasadzie należy to do Johna Camerona, ale jest na nabrzeżu, więc.

Abbey wskazała mężczyznom krzesła.

- Zanim zaczniemy - powiedziała, zwracając się do Dave'a - chciałabym pana poinformować, że mogę ujawnić osobie trzeciej szczegóły dotyczące pana zdrowia tylko za pańską zgodą. Czy pan wyraża taką zgodę?

To pytanie zbiło Dave'a z tropu.

- Cóż, sam nie wiem... - zawahał się. - Musimy wdawać się w szczegóły?

- Rzecz w tym, Abbey - włączył się Larry - że kiedy Dave nie będzie nurkował, zakłóci nam to cały harmonogram. Ucierpi na tym praca. Poza tym, nie nurkując, otrzyma wynagrodzenie jako nurek rezerwowy, a ono nie jest wysokie. Dave ma rodzinę, potrzebuje pieniędzy. Prosimy tylko o wzajemne ustępstwa. Jeśli nie będzie się forsował, jeśli John przydzieli mu lżejszą pracę, na pewno sobie poradzi i wszystko będzie dobrze.

Na nieszczęście Larry miał trochę racji. Schodząc pod wodę, Dave nie będzie narażony na zbyt duże ryzyko. Ale jakieś ryzyko jednak istnieje i ona nie zamierza go podejmować.

- Według mnie Dave nie powinien nurkować - oświadczyła Abbey, podtrzymując swoją wcześniejszą ocenę. - Jeśli sobie tego zażyczy, wyślę wyniki badań do innego lekarza, żeby i on wydał opinię. Zanim to nastąpi, zgodzę się, żeby Dave nurkował tylko pod jednym warunkiem. Otóż kapitan oświadczy na piśmie, że zapoznał się z moimi zaleceniami i postanowił je zignorować. Ale jeśli otrzymam takie pismo, natychmiast opuszczę statek.

Larry zaniemówił. Nie takiej reakcji oczekiwał po uroczej pani doktor.

- Cóż, zobaczymy - wykrztusił w końcu. - Chodźmy, Dave.

- Proszę przekazać nurkom, że chciałabym spotkać się jeszcze ze wszystkimi, dobrze? - zawołała za nim Abbey.

Czekali na nią w mesie. Gdy weszła, od razu wyczuła, że są do niej wrogo nastawieni. Cóż, spodziewała się takiej reakcji. Żałowała, że nie ma tu Johna. Wiedziała, że byłby po jej stronie, ułatwiając jej tym samym zadanie.

- Słyszeliście już zapewne, że zabroniłam Da-ve'owi nurkowania, przynajmniej na pewien czas - zaczęła. - Przykro mi, ale skontaktowałam się z konsultantem w Aberdeen, żeby się upewnić, czy rzeczywiście Dave nie może podjąć pracy. Nie ja ustalałam przepisy, jednak muszę ich przestrzegać. Dave nie spełnia określonych standardów medycznych wymaganych przez urząd do spraw zdrowia i bezpieczeństwa. A zatem nie może pracować pod wodą.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Chciałabym jeszcze poruszyć jedną kwestię, żeby nie wracać już do tego tematu - kontynuowała. -I nie wymagam współczucia. Mój mąż był nurkiem i zginął, ponieważ nie zastosował się do przepisów. Co więcej, zmarł być może dlatego, że pozwolił mu na to jego kolega. Jesteście za siebie nawzajem odpowiedzialni. Chory człowiek nie jest w stanie dopilnować siebie, nie mówiąc już o koledze.

Zauważyła, że te słowa wzbudziły zainteresowanie zgromadzonych mężczyzn. Wrogość zaczęła u-stępować, nawet Dave złagodniał.

- A więc pozwolę sobie przypomnieć obowiązujące zasady - ciągnęła. - Chcę być powiadamiana o każdej chorobie, a nawet podejrzeniu choroby, zanim jeszcze się rozwinie. Chcę wiedzieć o każdym skaleczeniu, zadrapaniu, stłuczeniu czy bólu zęba, nawet najmniejszym. Jeśli okaże się, że to błahostka, a tak jest w większości przypadków, to wam o tym powiem. I pamiętajcie! Żadnego picia bez umiaru w dniu poprzedzającym nurkowanie. A to znaczy dziś wieczór. Jeśli będę miała choć cień podejrzenia, że któryś z was za dużo wypił, zrobię test i zabronię schodzenia pod wodę. Trzymam się jednej zasady. Każdy ma prawo do głupoty i narażania własnego życia. Ale nikt nie ma prawa narażać życia kolegi. Zrozumiano?

Nastąpiła krótka przerwa, po czym Abbey dodała:

- Ostatnia sprawa. Sama jestem pletwonurkiem. Oczywiście nurkuję amatorsko. Ale mam certyfikat stowarzyszenia zawodowych instruktorów nurkowania w zakresie nurkowania z akwalungiem. I możecie mi wierzyć albo nie, ale lubię to zajęcie. Dziękuję za uwagę.

Osiągnęła to, co chciała. Certyfikat stowarzyszenia był potwierdzeniem najwyższych kwalifikacji na poziomie amatorskim. Wzbudzał szacunek. Mężczyźni popatrzyli po sobie, pokiwali głowami, poszeptali i trochę się rozluźnili. Abbey zachowała kamienną twarz. Ale w duchu odetchnęła z ulgą.

Wieczorem czekała na Johna w holu hotelowym. Tym razem miała na sobie różową sukienkę. Wkrótce jej zasoby eleganckich strojów ulegną wyczerpaniu. Wzięła przede wszystkim ubrania do pracy na sześć lub osiem tygodni. Nie spodziewała się, że pozna kogoś takiego jak John.

Usiadła i zaczęła się zastanawiać nad swoim samopoczuciem. Jeśli chodzi o pracę, sytuacja nie wygląda źle. Przy odrobinie szczęścia poradzi sobie z nurkami. Nie mogła się już doczekać jutrzejszego dnia, kiedy wyjdą w morze.



To połowa jej nowego życia. A co myśli o Johnie? Być może drugiej połowie tego życia?

Na dobrą sprawę nie wiedziała. Pod względem fizycznym był z pewnością jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich dotąd spotkała. Ale potrzebowała czegoś więcej. Jej mąż wyglądał na wspaniałego faceta. Czy John może mieć takie same wady jak on? Właściwie czego oczekiwała od mężczyzny? Sama nie wiedziała. Ale może ciekawe będzie się dowiedzieć...

Gdy John wszedł do holu, nie miała wątpliwości, co do niego czuje. Była zbyt doświadczona, by odczuwać czyste pożądanie. Wstrzymała jednak oddech i poczuła, że robi się jej gorąco. Jej ciało zareagowało natychmiast na jego widok. Od lat jej się to nie zdarzyło.

- Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś inaczej ubrana - rzekł na powitanie. - I zawsze wyglądasz atrakcyjnie.

- Dziękuję, jesteś niezwykle uprzejmy. Nawet w stroju lekarskim wyglądałam atrakcyjnie?

- Zwłaszcza.

- Ty też elegancko się prezentujesz...

John miał na sobie granatowy garnitur z lnu i jasnoniebieską jedwabną koszulę. Ten zestaw doskonale harmonizował z jego ciemnoniebieskimi oczami. Abbey zastanawiała się, czy wybrał go celowo.

- Pomyślałem, że możemy pojechać gdzieś poza Dunlort - powiedział, gdy szli do samochodu. - W bok od głównej szosy jest miła restauracja. A tutaj moglibyśmy natknąć się na Larry'ego, oczywiście przypadkiem. To małe miasto, a Larry lubi sobie wypić.

- Chyba nie będę powodem nieporozumień między wami? - zaniepokoiła się Abbey. - Nie chcę tego.

- Na pokładzie Larry zachowuje się odpowiedzialnie. - John potrząsnął głową. - To świetny pierwszy oficer. Kapitan nie mógłby znaleźć lepszego.

- To dobrze, bo na pokładzie chcę skupić się wyłącznie na pracy, a nie zawracać sobie głowę jakimiś głupotami męsko-damskimi - oświadczyła Abbey.

Patrzyła na mijane zielone wzgórza i na błękitne niebo, pławiąc się w ciepłe promieni słonecznych grzejących ją przez szybę.

- Czy to nie jest piękny wieczór, John?

- O tak. Przed przyjazdem tutaj pracowałem w Zatoce Perskiej. Słońca było tam aż za dużo. Leżałem na koi i marzyłem o deszczu.

- Tu jest Szkocja. Twoje marzenie może się szybko ziścić.

- Jestem pewien, że tak się stanie - rzekł łagodnie, a ją do zastanowiło, co też mógł mieć na myśli.

W restauracji usiedli przy stoliku na werandzie. Abbey nie zwracała uwagi na to, co je. Nie przyszła tu po to, by jeść, lecz żeby porozmawiać z Johnem.

- Jak było w Zatoce? - zapytała.

- Ciężko i gorąco. - Wzruszył ramionami. - Ale praca była ciekawa. Pomagałem w umieszczeniu rurociągu pod wodą. Dobrze nam płacili.

- A stąd dokąd się wybierasz?

- Zobaczę, na co będę miał ochotę. Zawsze znajdzie się praca dla wykwalifikowanego nurka. Mogę wrócić do Zatoki, mogę udać się na Karaiby, mnóstwo roboty czeka w Australii. A mogę też zrobić sobie przerwę i trochę się powłóczyć.

- Zawsze dobrze zarabiałeś? - spytała.

- Na ogół tak. Nie zastanawiam się nad tym. Jeśli są pieniądze, to dobrze, jeśli nie - drugie dobrze.

- Nie chcesz oszczędzić, żeby kupić sobie gdzieś dom? Albo dla rodziny?  
- zainteresowała się.

- Nie mam rodziny i nigdy nie miałem domu - wyznał. - Byłem sierotą, wychowałem się w domu dziecka. Chyba miałem tam dobrą opiekę, bo nigdy nie czułem, że coś straciłem. A potem wstąpiłem do marynarki. Spędziłem tam

kilka lat, podobało mi się. Od tamtego czasu jadę tam, dokąd w danym momencie mam ochotę.

- Z nikim nie jesteś związany? - badała ostrożnie.

- Masz na myśli kobiety? - Roześmiał się. - Nigdy nie byłem w stałym związku. Miałem oczywiście dziewczyny, ale jestem samotnikiem, lubię nieustabilizowane życie, włączę z miejsca na miejsce. A kobiety na ogół tego nie rozumieją.

- No tak - przyznała Abbey. - I nie masz żadnej rodziny?

- Żadnej. I wcale nie żałuję. Rodzina zawsze chce cię zdominować. Kiedy skończę pracę tutaj, pojedę, dokąd zechcę, nie pytając nikogo o pozwolenie. Jestem wolnym człowiekiem, Abbey. A ty masz rodzinę?

- Brata na Florydzie i dwie bratanice, które uwielbiam - odpowiedziała.

Była zaskoczona, że tak łatwo jej się z nim rozmawia. Wyczuwała intuicyjnie, że może mu zaufać. Chciała, by dowiedział się o niej czegoś więcej.

- Dla mnie rodzina jest wszystkim - mówiła dalej.

- Ojciec zmarł sześć tygodni temu. Po jego śmierci moje życie się zmieniło. Ostatnie trzy lata opiekowałam się nim, bo chorował. Miał przewlekłą białaczkę limfocytową i jego stan stopniowo się pogarszał. Wiedzieliśmy oboje, że nie ma nadziei, ale byliśmy razem i to było cudowne. Wiele razy powtarzał, że powinnam oddać go do domu opieki i zająć się własnym życiem. Ale kochałam ojca i chciałam być przy nim do końca.

Jej oczy zaszyły łzami. Sięgnęła do torebki po chusteczkę, ale zanim zdążyła ją wyjąć, John podał jej swoją.

- Kochałaś go - rzekł półgłosem. - Teraz czujesz ból z powodu jego odejścia. Czy miłość jest warta bólu?

- Ależ tak! - odparła Abbey. - Moja matka zmarła, kiedy miałam jedenaście lat, wychowywał mnie ojciec. Towarzyszenie mu przed śmiercią było bardzo bolesne, ale miałam cudowne wspomnienia z przeszłości. Tego nic nie

zastąpi. Miłość jest z niczym nieporównywalna. Im więcej z siebie dajesz, tym więcej otrzymujesz w zamian.

- Interesująca myśl - zauważył John. - A nie przyszło ci do głowy, że im bardziej kochasz, tym bardziej narażasz się na ból? - zapytał.

- Owszem, ale to nie zmienia mojego poglądu. Abbey zastanawiała się, do czego ma prowadzić ta

rozmowa. John nie chciał się spierać ani narzucać swego zdania.

- Nie wspomniałaś o mężu. - Zerknął na nią spod oka.

- I nie zamierzam. Moje małżeństwo nie było udane. Bardzo się starałam, ale popełniłam głupi błąd. Prawdę mówiąc, oboje popełniliśmy błędy. Ale uwolniłam się już od wspomnień. Idę naprzód i nie oglądam się za siebie.

Z zadowoleniem stwierdziła, że John zrozumiał aluzję i więcej tego tematu nie poruszał.

Kiedy skończyli kolację, na dworze było jeszcze jasno. Postanowili nie siedzieć długo przy deserze, ale wrócić do Dunlort.

- Od jutra będziemy pracować głównie na morzu - powiedziała Abbey. - Chętnie przeszląbym się trochę po stałym lądzie.

- Ja też - zgodził się John. - Zwłaszcza że wieczór jest wyjątkowo piękny.

Gdy znaleźli się w miasteczku, zaproponowała spacer ścieżką wzdłuż klifu, aż do zakątka, z którego rozciągał się widok na zamek.

- Jak znalazłaś to miejsce? - John był wyraźnie zaskoczony. - W ogóle go nie widać.

- Przez szczęśliwy przypadek - odrzekła. Siedzieli obok siebie na kamiennym siedzisku

i patrzyli w milczeniu na morze. Woda złociła się w promieniach zachodzącego słońca. John otoczył ręką jej ramiona. Po krótkiej chwili wahania oparła się o niego i objęła go w pasie. Od dawna nie siedziała w ten sposób z żadnym mężczyzną. Spotykała się parę razy z kolegami ze szpitala, ale były to przelotne związki, niesatysfakcjonujące. Na pierwszym miejscu znajdowała się

praca i ojciec. Teraz jednak była wolna, a gdy tak siedziała tu z Johnem, czuła się, jakby miała znowu siedemnaście lat i była na pierwszej poważnej randce.

John objął ją mocniej i przytulił. Zamknęła oczy, uniosła twarz i poczuła na ustach jego wargi.

Zapomniała już, jak to jest z kimś się całować. Ale czy ktoś kiedykolwiek całował ją w ten sposób? Zakręciło się jej w głowie. Nie myślała o niczym innym, tylko o silnych ramionach i delikatnych ustach Johna. Rozchyliła wargi i jęknęła cicho, gdy John mocniej ją przytulił.

Była rozczarowana, gdy nagle się od niej odsunął. Otworzyła oczy, ale nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy. Na pewno malowało się na niej pożądanie. Pragnął jej tak samo, jak ona jego. Ale było w jego spojrzeniu coś jeszcze. Konsternacja?

- Nie musiałeś przerywać - powiedziała. - Nie miałam nic przeciwko temu.

- Nie chciałem, ale... Polubiłem cię, Abbey, i postanowiłem być wobec ciebie uczciwy.

- A więc nie powstrzymuj się - zachęciła go. - Bądź uczciwy. Zawsze myślałam, że to kobiety mają wątpliwości.

- Pewnie tak. Ale chcę postawić sprawę jasno. Po pierwsze, lubię kobiety, ale nigdy żadnej nie oszukałem. Jestem samotnikiem, nie nadaję się do trwałych związków.

- Zwykle, kiedy mężczyzna tak mówi, myśli, że to go uchroni od ewentualnych późniejszych zarzutów. Mówi: nie zakochuj się we mnie, nie nadaję się do miłości, jeśli to zrobisz, to wyłącznie na własne ryzyko, ale nie robi nic, żeby temu zapobiec. To właśnie jest nieuczciwe, John - zauważyła z sarkazmem Abbey.

- Nigdy nie chciałem nikogo zranić - bronił się John.

- Dobrze. Zaręczam więc, że mnie nie zranisz. Gwarantuję ci to. A teraz pocałuj mnie jeszcze raz. Oczywiście, jeśli masz ochotę.

- Jasne, że mam. Ale... ale... będziemy razem pracować. Czy to na pewno dobry pomysł?

- Pewnie nie - zgodziła się. - Ale w tym momencie nic mnie to nie obchodzi. Zaczynam nowe życie i być może mam prawo do paru błędów.

John pocałował ją ponownie, ale zobaczyła na jego twarzy ten sam wyraz co poprzednio, jakby zdziwienie połączone z zakłopotaniem. Jak gdyby nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się.

Cofnął się i zmarszczył brwi, po czym chwycił jej rękę i przyłożył ją do piersi.

- Czujesz, jak mi bije serce? - spytał.

- Jestem lekarką, znam się na tym. A w twoim przypadku nie potrzebuję stetoskopu, żeby wiedzieć, że bije bardzo szybko.

- To z twojego powodu - odrzekł. - Mam dziwne wrażenie, że coś otrzymuję, i nie chciałbym tego lekceważyć. Może się okazać, że to coś cennego. - Zamilkł na chwilę. - To dla mnie zupełnie nowe uczucie - dodał.

Teraz z kolei Abbey zachowała powściągliwość. W jej uszach słowa Johna zabrzmiały niemal jak wyzwanie. Musiała nabrać większej pewności co do zaistniałej sytuacji. Wstała, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. A potem pochyliła się i musnęła ustami jego policzek.

- Lepiej wracajmy - powiedziała. - Mamy przed sobą dużo czasu, więc się nie spieszymy. Wielkie nieba, przecież zaledwie wczoraj się poznaliśmy.

- To prawda. - John zwrócił wzrok ku morzu.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Abbey

- oświadczył. - Nie mam pojęcia, jak postępować.

- Znajdziesz jakiś sposób - uśmiechnęła się. Do hotelu wracali w milczeniu. John wstąpił do jej

pokoju po bagaże, by zanieść je do portu, gdzie byli zakwaterowani pletwonurkowie.

Kiedy Abbey pakowała torbę, rozejrzał się dokoła, zatrzymując wzrok na fotografiach ustawionych na szafce.

- Wprowadziłaś się tutaj tylko na dwie noce, a już stworzyłaś sobie namiastkę domu - zauważył.

- Lubię zdjęcia - odrzekła. - To mój tata, to brat i bratanice, a to koledzy ze szpitala.

- Nie masz zdjęcia męża? - zdziwił się.

- Mówiłam ci, że to zamknięty rozdział. Staram się o nim zapomnieć. A teraz bądź tak dobry i znieś to na dół.

- Z przyjemnością. - John bez trudu zarzucił na ramiona plecak, który ona ledwo wciągnęła na schody.

Przy samochodzie pocałowała go lekko w usta, bardziej jak przyjaciela niż jak kochanka.

- Do zobaczenia jutro - rzuciła i weszła do hotelu, nie oglądając się za siebie.

Na „Hildzie Esme” były kajuty, toalety, część kuchenna, jadalnia. Ale towarzystwo żeglugowe, które wynajęło statek, zdecydowało, że skoro miejsce prac znajduje się zaledwie około dziesięciu mil od nabrzeża, ma on na noc zawijać z powrotem do portu. Tak więc nurkowie zostali zakwaterowani w hostelu na nabrzeżu, który należał do wydziału uniwersyteckiego prowadzącego kursy w dziedzinie biologii morza. Każdy nurek miał tam wygodny pokój z łazienką, w jadalni wydawano smaczne posiłki, a jedno z pomieszczeń przekształcono w salę rekreacyjną. Była nawet mała izba chorych.

John zaniósł bagaż Abbey do przydzielonego jej pokoju obok izby chorych, po czym wrócił do siebie.

Rozejrzał się dokoła. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma tu nic osobistego, tylko harmonogram pracy, mapy, schemat statku. Mieszkał tu już od tygodnia, a był mniej zdomowiony niż Abbey w pokoju hotelowym. Po raz

pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, czy aby coś go nie omija. A może to on sam to coś przepuścił?

Ściągnął buty i położył się na łóżku, z rękami pod głową. Myślał o Abbey. Przede wszystkim o tym, jak wygląda. Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, miała na sobie ciemny kostium kąpielowy. Widział, jak zanurkowała. Zobaczył w powietrzu nogi, a w następnej sekundzie zniknęła pod wodą. Wtedy zaczął się zastanawiać, czy coś jej się nie stało.

Nie każda kobieta wygląda tak dobrze w kostiumie kąpielowym, z mokrymi włosami. Abbey wyglądała wspaniale. Była wysoka, miała ramiona może troszeczkę za szerokie, ale kto by się tym przejmował? Była szczupła, a linia ramion i nóg wskazywała, że regularnie ćwiczy. Dziwne, ale nie potrafiłby powiedzieć, co mu się szczególnie podobało w jej twarzy. Wiedział tylko, że jest śliczna. Oczy, usta, zęby, krótkie ciemne włosy - wszystko. Poza tym była bezpośrednia, ciekawa ludzi, i interesująca. Nie wyobrażał sobie, by mogło mu się znudzić patrzenie na nią i słuchanie jej. Zastanowił się, czy przypadkiem sam się nie zmienił. Po raz pierwszy w życiu bowiem myślał o tym, jak by to było dzielić z kimś życie. Ustatkować się, mieć własny dom, zaciągnąć kredyt, codziennie rano chodzić do tej samej pracy...

Nie, to nie dla niego. Już sama myśl o tym przyprawiała go o dreszcze. Ale gdyby już miało to nastąpić, to osobą, z którą chciałby dzielić życie, byłaby Abbey. Przypomniał sobie, z jaką czułością mówiła o córeczkach brata. Na pewno chciałaby mieć dzieci. Ale czy on byłby na to gotowy? Własne dzieciństwo na pewno do tego nie zachęcało.

Wyskoczył z łóżka i nalał sobie szklankę wody. I jeszcze jedno. Niełatwo zacząć poważny trwały związek, a on nie jest już tak pewny siebie jak kiedyś. Zdawał sobie sprawę, że jest bardziej krytyczny w stosunku do ludzi, niż to jest konieczne. Po prostu nie chce podejmować ryzyka. Jak więc miałby angażować się w związek, skoro uważa, że się do tego nie nadaje?



## ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia Abbey musiała wstać bardzo wcześnie. Musiała przewieźć resztę rzeczy do hostelu i zgłosić się do pracy. Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony podniecenie, z drugiej obawy przed podjęciem całkiem nowych obowiązków.

Przygotowano dla niej biały kitel, ale wolała praktyczne spodnie i sportową bluzę. Tutaj nie było tak jak w szpitalu, gdzie obowiązywał oficjalny mundur. Tu będzie mieć do czynienia z całkiem inną formą medycyny.

John przypuszczalnie już na nią czekał, bo gdy zaparkowała przed hostelem, zobaczyła go w drzwiach budynku. Miał na sobie grube dżinsy i ciemny podkoszulek, na ramiona zarzucił sweter. Był wysoki, szczupły i męski. Znow przeszedł ją dreszcz podniecenia. To jest mężczyzna, który wczoraj ją całował, a dziś... mają razem pracować.

- Zaniosę twoje rzeczy do pokoju i idziemy na statek - powiedział. - Zapowiada się dobry dzień do nurkowania - dodał, patrząc na morze i na niebo.

Wystarczyło tylko kilka słów, by Abbey rozpoznała ten ton w jego głosie. Słyszała go już u innych mężczyzn. Brzmiała w nim tęsknota za odkryciem tego, co jest za horyzontem. Determinacja, żeby nigdy się nie ustabilizować.

- A więc zaczynajmy - powiedziała. - Wszyscy zdrowi?

- Wszyscy. Tylko Dave'a Evansa zawieziono rano do szpitala w Aberdeen. Chłopcom podobało się, że tak szybko podjęłaś decyzję co do niego. Najwyraźniej ich sobie zjednałaś - zauważył z nieskrywanym podziwem.

- Polubiłam ich - przyznała. - Ale nie zamierzam nikogo faworyzować - zastrzegła.

- Myślę, że oni zdają sobie z tego sprawę. Wsiedli do motorówki. Gdy dopłynęli do statku, Abbey od razu zaprowadzono do kajuty kapitana i poinformowano ją, że kapitan zaraz się w niej pojawi. Toteż usiadła i czekała, przysłuchując się odgłosom życia na statku, przejęta rozpoczynającą się nową przygodą życia.

- Witam, pani doktor, miło mi panią poznać. Jestem kapitan Caleb Farrow. - W drzwiach kajuty stał tęgi mężczyzna średniego wzrostu. Miał białe włosy, tegoż koloru brodę, ale roztaczał wokół siebie aurę stanowczości, która przydawała mu autorytetu.

Od pierwszej chwili Abbey nabrała przekonania, że będzie jej się z nim dobrze pracowało.

- Mnie również miło pana poznać, kapitanie - odrzekła, wyciągając do niego rękę. - Cieszę się, że jestem na pokładzie.

- Dobrze, dobrze, usiądźmy i pogadajmy chwilę. - Kapitan zdjął czapkę. Abbey zwróciła uwagę, że ma najbardziej przenikliwe niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Kapitan Caleb Farrow to naprawdę ktoś.

- Kiedy wstępowałem do marynarki wojennej - zaczął - na pokładzie nie było kobiet. Jak wszyscy żeglarze, uważałem wówczas, że obecność kobiety zdemoralizowałaby załogę. Okazało się, że się myliłem. Później wśród najlepszych członków załogi często spotykałem kobiety. Myślę, że to wyszło statkom na dobre. A zatem, witamy na pokładzie. Teraz możemy przejść do pani obowiązków.

Abbey powstrzymała uśmiech. Kapitan rozwiął jej obawy. Będzie się przy nim czuć swobodnie.

- Po pierwsze, jestem kapitanem - zaczął Farrow.. - Jeśli uzna pani, że jest coś, o czym powinienem wiedzieć, proszę mnie niezwłocznie o tym powiadomić. Na pokładzie nie obowiązuje tajemnica lekarska w takim stopniu jak na lądzie.

- Tylko pana? Nikogo więcej?

- Tylko mnie - potwierdził kapitan.

- Jeśli dojdę do wniosku, że jakiś przypadek medyczny może zagrozić statkowi, życiu chorego czy życiu kogokolwiek innego - powiedziała Abbey po chwili namysłu - a nie będę w stanie skłonić go do podjęcia zalecanego działania, wtedy panu powiem, za jego zgodą albo nie.

- A zatem uważajmy tę sprawę za załatwioną. Wie pani, jakie sytuacje mogą być groźne?

- Uczyłam się medycyny morskiej - odparła Abbey. - Mam odpowiedni certyfikat.

- Tak, oczywiście. I ostatnia sprawa. Mam duże zaufanie do Johna Camerona - ciągnął kapitan. - Jest porządnym facetem, dba o ludzi. Ale nurkowie pracują pod presją czasu. Jeśli wcześniej wykonają pracę, otrzymują znaczną premię. Może się więc zdarzyć, że któryś z nich pokusi się o pójście na skróty, czyli że zechce nurkować, przeciążając układ oddechowy. Chciałbym, żeby pani nie dopuszczała do takich sytuacji. I niezależnie od decyzji, jaką pani podejmie, proszę liczyć na moje poparcie.

- Dopilnuję, żeby nikt nie nurkował na granicy ryzyka - obiecała Abbey. - I dziękuję za zaufanie.

- Mój syn studiuje medycynę w Edynburgu. - Kapitan się uśmiechnął. - Jest na ostatnim roku. Lubię lekarzy - dodał i wstał, uznając rozmowę za skończoną.

Abbey wyszła z kajuty. Była szczęśliwa. Z takim szefem jak kapitan Farrow dobrze jest pracować. Udała się do gabinetu, by wszystko jeszcze raz sprawdzić. Po drodze zatrzymała się przy burcie, rozkoszując się zapachem morskiego powietrza i lekkim kołysaniem fal. A kiedy ktoś stanął obok niej, od razu wiedziała, że to John.

Przesunął dłoń wzdłuż relingu i dotknął jej ręki. Przypadkowo czy rozmyślnie?

- Uśmiechasz się - zauważył. - Z radości, że zaczęłaś pracę?

- Cóż, ty się cieszysz, to czemu ja bym nie miała? - odrzekła. - Zawsze, kiedy wypływasz w morze, ogarnia cię podniecenie, przeczucie, że zaczyna się coś nowego...

- Masz rację. - John skinął głową. - Ale niezależnie od tej początkowej ekscytacji, po pewnym czasie praca staje się monotonna. I wtedy zaczynasz się zastanawiać, co kryje się za horyzontem.

- Zawsze? - Spojrzała na niego kątem oka. John przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

- Ja zawsze tak uważałem - odparł w końcu. Wpatrywał się w morze, jak gdyby tam spodziewał

się znaleźć odpowiedź na swoje pytania.

- Zeszłego wieczoru - zaczął, nie patrząc na nią - w twoim zakątku pod klifem... Chcę powiedzieć, że naprawdę... byłem szczęśliwy. To było dla mnie... coś.

- Dla mnie to też była ważna chwila - wyznała otwarcie Abbey.

- Ale potem byłem trochę... przerażony - ciągnął John.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była przerażona, całując mężczyznę.

Czego się bałeś? Mnie?

- Wydaje mi się, że bałem się nowych horyzontów - odparł. - Rozumiesz, o czym mówię?

Abbey nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Myślę - zaczęła ostrożnie - że może ty i ja mamy...

- John, platforma zaraz będzie gotowa. Schodzimy za piętnaście minut.

Abbey odwróciła się. Jeden z nurków wyraźnie się niecierpliwił.

- W porządku. - John zwrócił się do nurka. - Ale najpierw muszę parę rzeczy skontrolować. To na razie, Abbey.

Abbey przeniosła wzrok na dużą barkę oceaniczną, zacumowaną w pewnej odległości od ich statku. Na śródokręciu był zainstalowany potężny dźwig.

- Ten manewr wykonywałem tysiące razy - usłyszała obok siebie męski głos - ale młody Kent tego nie robił i musi się wprawiać. A więc zamierzam uciąć sobie z panią pogawędkę, a on niech w tym czasie sobie radzi.

Abbey odwróciła się z uśmiechem do kapitana Farrowa.

- Jeśli mu coś nie pójdzie, w ciągu minuty wróci pan na mostek. Ale skoro teraz ma pan chwilę czasu, proszę mi objaśnić, co tu robimy.

- Zbieramy pozostałości po czyjejsz nieznajomości sztuki żeglarskiej. - Skrzywił się. - Około trzydziestu metrów pod nami znajduje się wrak „Sally J. Crooks”. Ten statek przewoził beczki z drogim olejem z Aberdeen do Niemiec. Podczas sztormu nastąpiła kolizja z pewnym obskurnym małym frachtowcem, co to są zarejestrowane w jednym obcym kraju, czarterowane w drugim, a obsługiwane przez niedouczonej załogę z trzeciego. „Sally J. Crooks” zatonała, ale na szczęście nikt nie zginął. A frachtowiec odpłynął sobie w siną dal i teraz rzesze prawników usiłują znaleźć właściciela, żeby go zaskarżyć.

- Jest pan wyraźnie bardzo przejęty tą sprawą, kapitanie - zauważyła Abbey.

- Owszem. Jeśli ten cały olej wycieknie do morza, nastąpi katastrofa ekologiczna.

- To dlatego nurkujemy? - domyśliła się.

- Właśnie. - Kapitan wskazał dużą barcę, która znajdowała się teraz znacznie bliżej. - Nasi nurkowie będą schodzić trójkami pod wodę i wydobywać beczki z olejem, które następnie przymocują do liny dźwigu. Dźwig przeniesie je na barcę, a kiedy barka się napełni, zostaną na niej przetransportowane do portu.

- Czy dotychczas nie nastąpił żaden wyciek? -zapytała Abbey.

- Nie wiemy. Nasi nurkowie pracują w ograniczonej przestrzeni i mają nieco utrudnioną widoczność. Poza tym w wodzie jest sporo odłamków metali i ostrych krawędzi. Dlatego właśnie jest nam pani potrzebna - dokończył.

Statek zwolnił i podpłynął do pierwszej boi. Abbey obserwowała, jak marynarze ustawiali „Hildę” równolegle do barki. Kapitan westchnął, wyraźnie zadowolony.

- No, teraz kolej na nurków. A ja idę na kawę. Abbey już wcześniej widziała podobne akcje, ale

wciąż ją one fascynowały. Kiedy nurkowie zniknęli pod wodą, nie było już na co patrzeć, ale została na pokładzie. John stał na przymocowanej do statku niewielkiej gumowej platformie przypominającej ponton. Miał na głowie słuchawki, by pozostawać w stałym kontakcie z nurkami. Po chwili Abbey zauważyła jakiś ruch przy barce i zobaczyła wyłaniające się z wody ramię dźwigu z uczezionymi w specjalnym kontenerze czterema beczkami. Gdy zostały umieszczone na pokładzie, ramię dźwigu ponownie się zanurzyło.

Po pewnym czasie trzech nurkowie wypłynęli na powierzchnię i wspięli się na ponton, a trzech inni zsunęli się do wody. W tym momencie do pracy przystępował lekarz. Abbey poczekała, aż mężczyźni wrócą na statek, zdejmą kombinezony i wezmą prysznic, po czym zamieniała z każdym parę słów. Nie było to co prawda konieczne, ale wolała trzymać rękę na pulsie.

Nurkowie byli zadowoleni z siebie i nie wydawało się, by potrzebowali jej pomocy. Ale gdy rozmawiała z trzecią trójką, zwróciła uwagę, że jeden z nurków utyka.

- Harry! Co ci się stało w stopę? - spytała.

- Nic takiego, pani doktor. Nie ma powodu do zmartwienia.

- Zmartwienia to moja specjalność - zażartowała. - A teraz bez dyskusji.

Zapraszam do gabinetu, obejrzę tę nogę.

Kość nie była naruszona, ale na podbiciu widniał duży siniak, który musiał sprawiać mężczyźnie ból.

- Położę zimny kompres - oznajmiła Abbey. - Powinien złagodzić ból i zapobiec obrzękowi. A teraz chciałabym usłyszeć, jak to się stało.

- Podnosiliśmy beczkę - mruknął Harry. - Pośliznąłem się i uderzyłem o nią.

- Cóż, nie ma przeciwwskazań do nurkowania, ale będzie ono trochę utrudnione - poinformowała go. - A na przyszłość, Harry, chcę wiedzieć o wszystkim. O każdym incydencie, nawet najdrobniejszym. Przekaż to kolegom.

Abbey była zadowolona z mijającego dnia.

- Postawiłeś mi wczoraj kolację - powiedziała do Johna, gdy wracali do Dunlort. - Czy mogę zaprosić cię przynajmniej na drinka?

- Abbey! - Westchnął i roześmiał się. - O niczym innym bym nie marzył, ale dziś muszę zająć się komorą ciśnieniową. Pewnie jest w porządku, ale na wszelki wypadek muszę ją skontrolować. Choć, wierz mi, wolałbym ten czas spędzić z tobą.

- A może chcesz, żebym ci dotrzymała towarzystwa?

- To byłoby cudowne. Ale czy nie sądzisz, że niewiele bym wtedy zrobił?

- A więc odłóżmy to na kiedy indziej. Będzie jeszcze niejeden wieczór - rzuciła.

Zjadła kolację z nurkami w jadalni hostelu i poszła do swego pokoju. Nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć. Zaczęła myśleć o Johnie.

Wielkie nieba, zna go zaledwie od trzech dni, a już za nim tęskni. Przez moment zastanawiała się, czy nie poprosić o motorówkę i jednak do niego nie popłynąć, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Postanowiła pójść na spacer.

Udała się do swojego zakątka na klifie. Ze skalnej i półki miała widok na „Hildę Esme”, a tam był John. Pograżyła się w myślach, tym razem jednak nie o nim, lecz o sobie. Chciała zacząć wszystko od nowa, i właśnie tak się stało. Ale czy nie nastąpiło to za szybko? Wiedziała, że potrafi być namiętna, ale od trzech lat żyła w celibacie. Miała oczywiście różne propozycje, ale żadna z nich jej nie pociągała.

Teraz jest inaczej. Jej ciało zaczęło domagać się swoich praw. Ale sama miłość fizyczna jej nie zadowalała. Czy jednak John jest mężczyzną, którego mogłaby obdarzyć uczuciem? Tego nie była pewna.

A jednak intuicja podpowiadała jej, że może być mężczyzną jej marzeń, że jest w nim coś więcej niż tylko piękne ciało.

Gdy wróciła do miasta, zapadł już zmierzch. Zajrzała do baru w hotelu, w którym wcześniej mieszkała. Miała ochotę zakończyć ten dzień drinkiem. Przy barze siedział Larry. W pierwszej chwili chciała się wycofać, ale zmieniła zdanie. Właściwie dlaczego miałyby się go obawiać?

- Czekasz na kogoś, Larry? - zapytała, zajmując miejsce obok niego. - Nie chciałabym ci przeszkadzać.

- Abbey! - wykrzyknął uradowany. - Nie, jestem sam. A dlaczego John nie przyszedł?

- Ma coś do zrobienia na statku - odparła.

- Jego pech jest moim szczęściem. - Rozpromienił się. - Czego się napijesz? Mają tu doskonale czerwone wino. Możemy wziąć butelkę...

- Larry, spokojnie - powstrzymała go. - Wpadłam tylko na dziesięć minut posiedzieć z kolegą z pracy, czyli z tobą. Sama postawię sobie drinka.

- Ale ja muszę...

- Nic nie musisz. I nie rób z tego wielkiej sprawy, bo sobie pójdę.

- Dobrze, już dobrze, zostań - zgodził się. - Ale i tak polecam ci to wino.

Abbey została nieco dłużej, niż początkowo zamierzała. Larry okazał się całkiem sympatycznym towarzyszem. Nie chciała jednak, by odprowadził ją do hostelu. Poszła sama i od razu położyła się spać. John został na statku przez całą noc. Następnego ranka spotkali się na pokładzie.

- Byłam wczoraj na drinku z Larrym Kentem - oznajmiła. - Spotkałam go przypadkowo, pogadaliśmy chwilę. Mówię ci o tym, bo nie chcę niczego przed tobą ukrywać.

- Kiedyś, gdyby dziewczyna powiedziała mi, że była na drinku z innym facetem, odparłbym, że jest wolnym człowiekiem i może robić, co chce - zauważył John. - To samo odnosiło się do mnie. Ale ty to co innego, Abbey. Sam nie wiem...



- Dzięki ci za to wyznanie. - Abbey roześmiała się serdecznie. -  
Nawiasem mówiąc, byłam wczoraj w mojej samotni - dodała. - Patrzyłam na statek i myślałam o tobie.

- Ja też o tobie myślałem. W chwilach, kiedy moje myśli nie krążyły wokół komory ciśnieniowej.

- To jest jeszcze oryginalniejsze wyznanie stwierdziła Abbey z lekką kpina w głosie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego dnia pogoda była bardziej sprzyjająca, a morze łagodniejsze. Płetwonurkowie szybko uporali się z pracą, wyprzedzając znacznie harmonogram. Wydobyli z dna więcej beczek, niż planowano.

Do popołudnia wszyscy wyczerpali czas, jaki wolno im było przebywać pod wodą, ale kilku z nich nie widziało powodu, dla którego nie mieliby jeszcze raz zejść na dół.

- Nie wiadomo, kiedy znowu będą tak doskonałe warunki - zwrócił się jeden z mężczyzn do Johna.

- Wiesz, że nic nam nie grozi. Te limity czasu ustalono dla amatorów i początkujących. My możemy jeszcze nurkować. I chcemy. Zależy nam na premii - przekonywał.

- Nie -uciał John. - Są przepisy i dopóki ja jestem waszym szefem, nie pozwolę ich złamać. Przykro mi, chłopcy, ale na dziś koniec roboty.

Abbey z zadowoleniem stwierdziła, że nikt nawet nie próbował z Johnem dyskutować. Najwyraźniej mężczyźni zdawali sobie sprawę, że i tak nic by nie wskórali.

- Jeszcze przez jakąś godzinę zostaniemy na morzu - poinformował ją John. - Zejdę na dno i sprawdzę stan robót.

- Zejdę z tobą - zaproponowała.

- Nie. Może jesteś bardzo dobrym płetwonurkiem, ale amatorką, a to jest nurkowanie profesjonalne. Zupełnie inna zabawa.

- Nie uważam tego za zabawę - obruszyła się. - Nurkowałam na większych głębokościach niż tutaj, i w znacznie gorszych warunkach pogodowych. Schodziłam też do wraków. W gabinecie mam dziennik swoich wypraw, możesz sam sprawdzić. Nie mam takiego doświadczenia jak ty, zawodowiec, ale w żadnym wypadku nie jestem amatorką. Nawiasem mówiąc, nie powinieneś nurkować w pojedynkę.

Przypuszczalnie ten ostatni argument go przekonał.

- O ile będziesz płynąć za mną, robić to, co powiem, i...

- Oby nigdy do tego nie doszło, ale pewnego dnia może się zdarzyć, że będę musiała udzielić pomocy medycznej pod wodą. Powinna wiedzieć, jak tam jest.

- Dobrze, chodź ze mną - odparł zrezygnowany. - Wiem, że masz ze sobą kombinezon. I jeszcze jedną sprawą: poruszasz się tylko na zewnątrz wraku. Nie próbuj wchodzić do środka, to jest dalej niebezpieczne. Ja muszę zajrzeć na moment do ładowni, ale ty zaczekasz na zewnątrz.

- Zrozumiałam.

Abbey lubiła nurkować, ale schodzenie pod wodę z Johnem sprawiało jej szczególną przyjemność. Tę czynność otaczała atmosfera osobliwej intymności. Dwie samotne postaci zanurzone w bezkresnych wodach oceanu...

Obejrzała kadłub wraka i czekała, aż John opuści ładownię. Wypłynął, układając kciuk i palec wskazujący w kształt kółka, po czym skinął na nią, by się do niego zbliżyła. Objął ją w talii i opłynęli biodro w biodro cały statek. Pokazywał jej wszystko, co jego zdaniem zasługiwało na uwagę. Gdy zaczęli wracać na powierzchnię, Abbey wyciągnęła ustnik i gestem poleciła mu, by zrobił to samo. Pocałowała go. John ścisnął jej dłonie. Założyli z powrotem ustniki i powoli się wynurzyli.

- Nikt nigdy nie całował mnie pod wodą - powiedział, gdy znaleźli się na gumowej platformie. - Próbowałem już różnych rzeczy, ale tego nigdy.

- Podobało ci się? - spytała kokieteryjnie Abbey.

- O tak, nawet bardzo. Dlaczego to zrobiłaś?

- Sama się nad tym zastanawiam. Chyba po prostu miałam ochotę.

- Nie będzie łatwo, jeśli będziemy musieli zanurzać się pod wodę, ilekroć zapagniemy chwili intymności - stwierdził John.

Tego wieczoru czekało go jeszcze wiele zajęć. Abbey nie była zdziwiona, bo nieraz już widziała szefów płetwonurków przy pracy.

- Wybacz, ale muszę zostać - oznajmił, gdy wsiadała na motorówkę, która miała ją odwieźć na nabrzeże.

- Skłamałabym, mówiąc, że nie ma sprawy - odrzekła. - Ale rozumiem, że masz sporo obowiązków. Jeszcze niejeden wieczór przed nami. Posiedzę w pokoju i napiszę maile do brata i bratanic.

Brakowało jej Johna. Gdy wstała od komputera, uświadomiła sobie, że choć zna go zaledwie od kilku dni, stał się już kimś bardzo ważnym w jej życiu. Oczywiście, w pewnym stopniu dlatego, że razem pracują.

Uznała, że nie jest w nim zakochana. Ale interesował ją, pociągał. Kto wie, może on czuje do niej to samo?

Następnego dnia zrobiło się chłodniej, wiał rześki wiatr, woda lekko się burzyła. Warunki do nurkowania były jednak w miarę dobre, więc pierwsza trójka zeszła w dół i wkrótce z wody wyłoniły się beczki z olejem.

John obiecał, że tego wieczoru nie będzie pracował, więc wybiorą się razem na kolację, na drinka lub na spacer. Abbey nie mogła się doczekać tej chwili. Nic nie powinno się wydarzyć, co mogłoby pokrzyżować im plany. Mają przed sobą kolejny zwyczajny dzień pracy. Okazało się, że bardzo się myliła.

Rozmawiała właśnie z nurkami, którzy wrócili na statek, gdy usłyszała wołanie Johna.

- Abbey, szybko! Wypadek pod wodą! Jest koło mnie lekarka - rzekł do mikrofonu. - Róbcie dokładnie to, co wam każe. - Podał jej mikrofon i pomógł nałożyć słuchawki.

Głos mężczyzny, który usłyszała, był spokojny, ale wyczuwała w nim niepokój.

- Chodzi o Harry'ego - mówił. - Zaczepił nogawką o ostry kawałek stali. Widzę pełno krwi. Myślę... myślę, że to tętnica.

- W którym miejscu nogi się zranił?

- Wysoko, po wewnętrznej stronie uda - odrzekł mężczyzna.

Abbey skrzywiła się. Wyglądało na to, że rzeczywiście została przecięta tętnica udowa.

- Wyszliście już z ładowni? - pytała dalej.

- Tak. Nie wiemy, co robić. - Abbey usłyszała panikę w jego głosie.

- Poradzicie sobie - uspokoiła go. - Powiem wam, jak postępować. Macie przy sobie jakiś sznur, przewód, linkę, cokolwiek, długości około pół metra?

- Mam linkę.

- Więc spróbuj ją zacisnąć Harry'emu między raną a pachwiną.

Abbey musiała wziąć pod uwagę, że mężczyzna będzie zakładał opaskę trzydzięci metrów pod wodą, przy ograniczonej widoczności, w dodatku na nogę w kombinezonie.

- Spróbuję. - Nurek oddychał ciężko. - Zrobione - zakomunikował po chwili. - Krwawienie jest mniejsze, ale nie ustało.

- Tak ma być - uspokoiła go Abbey. - Teraz wydostańcie się na powierzchnię. Pilnujcie, żeby Harry sam się nie poruszał. Chwyćcie go we dwóch i ostrożnie wyciągnijcie na górę. Nie zatrzymujcie się po drodze, jak to się zwykle robi. Jest przytomny?

- Tak - odparł mężczyzna. - Wypływamy. Nagle Abbey zdała sobie sprawę, że znajduje się w centrum uwagi. Nurkowie i członkowie załogi usłyszeli wołanie Johna, więc natychmiast skupili się wokół niej.

- Może powinniśmy zejść na dół, żeby im pomóc? - spytał jeden z nich.

- Nie, będą tutaj szybciej, niż zdążylibyście się przebrać - powiedziała Abbey. - Dwóch z was powinno tylko przejść na platformę, żeby pomóc im przy wychodzeniu z wody. John, będą potrzebne narzędzia i opatrunki. Nie chcę, żeby Harry wdrapywał się po drabince. Możesz zorganizować nosze, żeby go przenieść na pokład?

- Nie ma sprawy. - John spojrzał z niepokojem w niebo. - Mamy wezwać helikopter? - spytał. - Pogoda nie jest najlepszą.

- Na razie nie - uznała Abbey. - Najpierw obejrzę rannego. Ale podejrzewam, że im prędzej znajdziemy się w porcie, tym lepiej.

Zeszła na platformę. Pogoda pogarszała się z minuty na minutę. Jeszcze tego im brakowało. Po chwili z wody wynurzyły się dwie głowy, a zaraz po nich trzecia. Dwaj inni nurkowie natychmiast pospieszyli im z pomocą.

Abbey uklękła obok Harry'ego. Zdjęła mu maskę z twarzy i wyjęła ustnik. Twarz mężczyzny była blada, oczy szeroko otwarte, był przytomny.

- Zaraz cię przeniesiemy na statek - powiedziała, starając się dodać mu otuchy. - Odpręż się, nie denerwuj. Wszystko będzie dobrze.

- Na pewno, pani doktor - wymamrotał z trudem Harry i zamknął oczy.

To zły znak. Nastąpiła hipowolemia, szok spowodowany dużą utratą krwi. John podał Abbey torbę. Była w niej para ciężkich nożyc. Wsunęła je w rozdarcie spodni rannego nurka i rozcięła je z pewnym trudem, tak by móc obejrzeć ranę. Skrzywiła się. Wyjęła z torby opatrunek z gazy, który szybko położyła na ranie i obwiązała ciasno bandażem, tak że prawie zatamowała krew, po czym usunęła linę, którą pod wodą założyli nurkowie.

Teraz należałoby podać Harry'emu środek zwiększający objętość osocza, gdyż stracił znaczną ilość krwi. Ale to mogła zrobić wyłącznie w gabinecie.

- Kapitan mówi, że płyniemy prosto do portu - poinformował ją John.

- W porządku, to konieczne. I proszę, żeby już czekała na nas karetka - poleciła.

Harry został ułożony na noszach i wciągnięty z platformy na pokład. John z dwoma nurkami ostrożnie, by nie urazić nogi, ściągnęli z niego kombinezon i owinęli go kocem. Mężczyzna był nadal nieprzytomny, miał nieregularne tętno i częstoskurcz. Abbey z trudem znalazła żyłę, w którą mogła się wkłuć. Założyła wenflon i podłączyła Harry'ego do kroplówki. Sprawdziła opatrunek na udzie. Na szczęście mocno nie przeciekał.

Na razie zrobiła wszystko, co w tych warunkach mogła. Teraz Harry potrzebuje specjalistycznej opieki. Stracił dużo krwi, ale jest młody i silny, więc miała nadzieję, że jego życiu nic nie zagraża.

Karetka już czekała na nabrzeżu. Harry'ego przeniesiono do motorówki, a z niej do ambulansu. Dopiero wtedy Abbey odetchnęła z ulgą.

- Nie byłem do końca przekonany, że jest nam potrzebny lekarz pokładowy - usłyszała obok siebie męski głos - ale teraz nie mam już co do tego wątpliwości.

Abbey odwróciła się i zobaczyła kapitana Farrowa.

- Myślę, że John poradziłby sobie równie dobrze - odparła.

- Być może. - Kapitan skinął głową. - Musiała pani już nieraz mieć do czynienia z przypadkiem przecięcia tętnicy udowej, prawda?

- Dość długo pracowałam na oddziale ratunkowym - przyznała Abbey. - Było sporo takich przypadków.

- No właśnie. A John Cameron zetknął się z nim tylko dwa razy, jak mi mówił.

- Ale nigdy nie miałam pacjenta, którego to spotkało pod wodą - przyznała Abbey. - I więcej nie chciałabym mieć.

- Rozsądna uwaga. Kiedy motorówka wróci, zabierze panią na brzeg. Dziś już nie wypłyniemy w morze. Niezależnie od wszystkiego, muszę sporządzić raport, a nie znoszę tego robić.

Kapitan oddalił się, a Abbey poczuła się trochę zagubiona. John popłynął motorówką razem z Harrym.

Po powrocie do hostelu nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wolałaby pracować. Chwilę poczytała, przez parę minut posłuchała radia, napisała list do brata. Wciąż jednak była pod wrażeniem wypadku.

Pół godziny później usłyszała pukanie do drzwi. Ku swemu zdumieniu zobaczyła w progu dwóch nurków z bukietem kwiatów.

- To od nas wszystkich, z powodu Harry'ego - wyjaśnił jeden z nich.

- Wykonywałam tylko swoje obowiązki - zauważyła Abbey.

- Zrobiła pani więcej. Uratowała pani Harry'emu życie.

Wieczorem nie miała ochoty na kolację. Zeszła do bufetu, kupiła kanapkę i wróciła do pokoju.

W jakiś czas później odwiedził ją John. Zauważyła, że jest zły.

- Ten wypadek nie powinien być się zdarzyć!

- wybuchnął, siadając na łóżku. - Oni oczywiście nie przyznają się do tego, ale ja wiem, że znowu poszli na skróty. Ułożyłem harmonogram, który miał im zapewnić jak największe bezpieczeństwo, a oni go złamali.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to w przyszłości raczej nie powinno się to powtórzyć - zauważyła Abbey.

- Teraz już wiedzą, co może się stać, jeśli będą nieostrożni.

- Może masz rację. Ale i tak muszę z nimi pomówić.

- Zrobisz to jutro. A teraz jest dziś. Przyszedłeś do mojego pokoju i wyładowałeś się. Wiem, że nie znosisz wypadków, ja też nie. Co byś powiedział na filiżankę herbaty? - zapytała.

- Abbey, jaka ty jesteś dobra. - Jego twarz z wolna się rozpuściła. - Tak, marzę o herbacie. Ale jeszcze jedno, żeby zamknąć ten temat. Byłaś świetna. Mam nadzieję, że Harry o tym wie i jest ci wdzięczny. No, gdzie ta herbata?

Abbey nalała wody do czajnika i wskazała na okno.

- Od razu widać, że jesteśmy w Szkocji. Pogoda się zmieniła, wyszło słońce - zauważyła.

- Rzeczywiście, niebo bez chmurki. Chodźmy na spacer - zaproponował. -  
Chcę poczuć łąd pod stopami.

- Poczekaj, umyję tylko twarz. - Abbey znikła w łazience.

Spojrzała w lustro, poprawiła włosy i uznała, że nie potrzebuje makijażu. Nagle coś jej przyszło do głowy. Patrzyła w lustro i zastanawiała się, jaką podjąć decyzję. Po krótkiej chwili wyszła z pokoju i udała się do damskiej toalety na korytarzu. Zawahała się przez sekundę, po czym wrzuciła monetę do automatu ze środkami higienicznymi. Wyjęła małą paczuszkę.

Fakt, że to kupiła, nic jeszcze nie znaczy, usprawiedliwiała się sama przed sobą. Ale daje jej wybór. A może John też to kupił?

Powędrowali klifem do jej samotni. John wziął ją za rękę. Milczeli. Była szczęśliwa, że są razem.

- Usiądźmy w słońcu - powiedziała, gdy znaleźli się na miejscu i okazało się, że na kamienne siedzisko pada cień. - Podłożę plastikową torbę.

- To twoje ustronie, twoje małe królestwo - zauważył John.

- Odkryłam je, a więc istotnie należy do mnie - zgodziła się. - I nie widać nas tu ze ścieżki.

- To dobrze - przyznał. - Lubię moją pracę, ale czasami jestem już zmęczony ciągłym przebywaniem wśród ludzi. A ostatnio - dodał - mam ochotę być z tobą. Wiesz, to dla mnie nowe uczucie, że chcę z kimś być.

Abbey nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc zachowała milczenie. Położyła się na plecach i wpatrzyła w błękit nieba. John leżał obok niej. Milczeli, stykając się tylko palcami. Po chwili ujął jej dłoń i ścisnął lekko. Przeżywał coś zupełnie nowego.

Abbey zamknęła oczy i poczuła, że John zmienia pozycję. Gdy na jej twarz padł cień, zorientowała się, że pochylił się nad nią, zasłaniając słońce. Zastanowiła się, czy ją pocałuje, ale na razie tego nie zrobił.

Zaczął delikatnie pieścić palcami jej policzki, wargi, skórę za uszami, czoło, nos. A potem dotknął jej ust, rozchyliła je, więc wsunął palec, a ona lekko



go ugryzła. Niebo nad nią znów pociemniało. Domyśliła się, że John przybliżył do niej twarz.

Pocałował ją. Uniosła rękę i pogładziła jego włosy. Wiedziała, że mogłaby go powstrzymać, ale nie chciała. Za chwilę będą razem, zespolą się, ale choć bardzo tego pragnęła, nie spieszyła się, nie ponaglała go.

John oderwał usta od jej warg, pocałował ją w policzek i skubnął zębami koniuszek jej ucha. Zadrżała z podniecenia.

- Och, John! - wykrzyknęła. - Jeszcze!

Wyczuł, jak bardzo jest podniecona. Przez parę następnych sekund pieścił wargami jej ucho, po czym pocałował ją w usta. Tym razem namiętnie. Poczowała na sobie ciężar jego ciała i natychmiast zorientowała się, że bardzo jej pragnie. Przyciągnęła go do siebie. Nadeszła chwila decyzji. Wyjęła z kieszeni paczuszkę.

- Kupiłam to - powiedziała, podając mu. - Nie pytaj, nie dyskutuj, weź. Jeśli chcesz.

- Ale Abbey, ja...

- Powiedziałam nie pytaj, nie dyskutuj. W ogóle nic nie mów.

Nie odpowiedział. Podciągnął jej do góry bluzkę i zaczął całować jej piersi.

- Teraz, John - ponagliła go. - Teraz, proszę! Uniósł się nieco i niecierpliwymi ruchami ją rozebrał. Leżała teraz całkiem naga, czując na skórze ciepłe promienie słońca. Nie przeszkadzało jej zupełnie, że znajdują się na dworze, nieopodal uczęszczanej ścieżki. Czuła, że jest szalona, dzika i zmysłowa. Chciała oddać się cała temu mężczyźnie. Leżał na niej, mocno tuląc ją do siebie. A gdy się z nią połączył, przywarła do niego całą sobą, pragnąc go duszą i sercem. Doskonale wyczuwała jego potrzeby, bo pragnęła tego samego. A w momencie rozkoszy John wypowiedział jej imię z taką desperacją, jakby błagał o coś niebiosa, jakby sam nie wierzył, że znalazł coś, czego długo szukał.

Nie powiedział, że ją kocha. Chciałaby to usłyszeć, ale czy ona kocha jego? W tej chwili w każdym razie czuła się szczęśliwa. Przytuliła jego głowę do swojej piersi i głaskała jego plecy.

- Było cudownie - szepnęła. - Ale mam jedno pytanie. Dokąd zmierzamy?

- Nie wiem - odparł. - A chciałbym się dowiedzieć.

- Cieszę się tym, co jest. Ale chcę, żebyś wiedział jedno. Jesteś pierwszym mężczyzną, z którym spałam od czasu śmierci męża. Coś dla mnie znaczysz, John. Teraz on powinien powiedzieć, co ona dla niego znaczy, a nawet wyznać, że ją kocha. Abbey była trochę rozczarowana, że nie wyrzekł ani słowa.

Następnego ranka spotkali się na motorówce. Odnosili się do siebie przyjaźnie, lecz zachowywali dystans. Dopiero na statku przez chwilę mogli pobyć sami.

John zajrzał do jej gabinetu, upewnił się, że nikogo nie ma, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Tylko jeden całus - powiedział - i znowu będziemy kolegami z pracy. Ale trudno mi będzie utrzymać ręce z dala od ciebie, Abbey.

- Zgadzam się z tobą, Panie Porządnicki - roześmiała się. - Na statku nie ma miejsca dla zakochanych.

- Tak, tutaj mogą flirtować z sobą tylko mewy - odparł, patrząc na lecące za nimi stadko białych ptaków. - Abbey, wczoraj wieczorem... - zaczął.

- Wczorajszy wieczór to była tak samo moja wina, jak i twoja - wpadła mu w słowo. - Chciałam tego i nie żałuję.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Ale chcę tylko powiedzieć, że zdarzyło mi się coś cudownego i nigdy tego nie zapomnę.

Czy on wie, jak tymi słowami ją uszczęśliwił?

- Program na dziś został nieco zmieniony - dodał już bardziej oficjalnym tonem. - Najpierw ja schodzę pod wodę. Muszę dokonać oględzin miejsca

wypadku, zrobić zdjęcia i przygotować raport. Potem muszę dopilnować, żeby podobny incydent już się nie powtórzył.

- Ale będziesz uważał? - Popatrzyła na niego zaniepokojona.

- Abbey, pod wodą zawsze jestem ostrożny. John nie przebywał pod wodą długo. Gdy wrócił na statek, po krótkiej rozmowie z nurkami udał się pod prysznic. Abbey stała przy relingu, gdy pojawił się obok niej.

- Odkryłeś coś interesującego? - spytała.

- Niestety nie - odparł z żalem. - To był autentyczny wypadek, któremu nie sposób było zapobiec. Chłopcy zrobili wszystko jak należy. Myliłem się, mówiąc, że przekroczyli limity czasu. Powiedziałem im o tym.

- Wypadki się zdarzają - zauważyła. - Kiedyś pracowałam na ratunkowym z ordynatorem, który twierdził, że najbardziej niebezpiecznym miejscem pod słońcem jest własny dom. On złamał rękę, wychodząc z wanny.

- Wanna jest istotnie niebezpieczna. Przypomnij mi o tym, żebym sobie jej nigdy nie sprawił. - Oparł rękę na relingu tuż obok jej dłoni. - Popatrz - rzekł.

- Przed tobą niebieskie morze, na horyzoncie ląd. Świeci słońce, czujesz zapach wody, wiatr muska ci skórę. Dlaczego chcesz mieszkać w Londynie?

- Przede wszystkim dlatego, że tam mam pracę

- odparła. - A poza tym Londyn to duże miasto. Mieszkałeś kiedyś w mieście?

- Raz czy dwa, ale zawsze z przyjemnością przenosiłem się gdzie indziej. Będę zadowolony, kiedy stąd wyjadę. Za horyzontem czeka mnie coś nowego. Abbey nie chciała tego słuchać. Jeśli John opuści Dunlort, to czy opuści także ją?

- Przeczytałem twój raport i go podpisałem. - Obok nich nagle pojawił się kapitan. - Jedyne, co możemy na przyszłość uczynić, to modlić się i mieć nadzieję.

- Tradycyjna ostatnia deska ratunku żeglarza - stwierdził John. - Często skuteczna.

- Kapitanie - włączyła się Abbey, uznawszy, że rozmowa staje się zbyt poważna. - Właśnie zastanawialiśmy się nad tym, czy lepiej osiąść gdzieś na stałe, czy wciąż wędrować. Co pan o tym myśli?

- Robert Louis Stevenson powiedział kiedyś, że spędziłby całe życie w podróży, gdy miał drugie, które mógłby spędzić w domu. Ja po przejściu na emeryturę zamieszkał w Aberdeen. Nie wyobrażam sobie życia bez zapachu morza.

- Myślę, że tymi słowami kapitan uchwycił istotę problemu - stwierdził John.

Reszta dnia upłynęła w spokoju. Gdy tylko wrócili do hostelu, Abbey zatelefonowała do szpitala w Aberdeen. Stan Harry'ego poprawił się, niebezpieczeństwo minęło, ale z nurkowaniem będzie musiał jeszcze przez pewien czas się wstrzymać.

Później zasięgnęła informacji na temat Dave'a Evansa. W tym wypadku wieści były mniej pomyślne. Dave został przyjęty do szpitala z przypuszczalnie poważną infekcją płuc.

- Dzięki Bogu, że nie pozwoliła mu pani zejść pod wodę - rzekła pielęgniarka. - To mogłoby go zabić.

John czekał na nią pod kabiną telefoniczną. Przekazała mu obie wiadomości.

- Cieszę się, że Harry czuje się lepiej - powiedział.

- To dobrze, że zwróciłaś uwagę na stan Dave'a. Ale teraz będą pewne problemy. Chodzi o odszkodowanie z osobistego ubezpieczenia. Muszę się tym zająć.

- Spotkamy się wieczorem? - Abbey popatrzyła na niego z nadzieją w oczach.

- Muszę jechać do Aberdeen z raportem o wypadku i odpowiedzieć tam na parę pytań - rzekł z westchnieniem. - To rodzaj przesłuchania. Przykro mi,

ale wrócę bardzo późno. Kiedy pomyślę, że moglibyśmy spędzić ten czas razem...

- Mamy jeszcze wiele wieczorów przed sobą - uśmiechnęła się Abbey.

- I masz przecież wspomnienia.

- O tak, a ty? Zaczerwieniła się.

- To poczta do ciebie. - John wręczył jej pakiet listów. - Odebrałem z biura - wyjaśnił.

- Na ogół same reklamy. - Machnęła ręką, upuszczając przy tym jedną kopertę.

John podniósł ją.

- Zaadresowana do doktor A. Linder - powiedział, nie kryjąc ciekawości.

- Linder to moje nazwisko po mężu - wyjaśniła Abbey. - Po jego śmierci wróciłam do panieńskiego. Używałam też imienia Gail, skrótu od Abigail. Mój mąż lubił to zdrobnienie. Ale ja wolę Abigail.

- Cóż, muszę już iść, Abbey. Do zobaczenia jutro - mruknął John i szybko się oddalił.

Abbey odprowadziła go wzrokiem. Sprawiał wrażenie trochę przygnębionego. Chętnie by mu powiedziała, że może do niej wpaść w nocy, gdy wróci do hostelu - lekarze są przecież przyzwyczajeni do braku snu - ale było już za późno. Zobaczą się jutro na nabrzeżu.

Położyła się wcześniej spać w poczuciu, że wszystko układa się pomyślnie. Wyłaniają się nowe horyzonty, zaczyna nowe życie, a życie to jest cudowne.

John wyjechał z Dunlort w ponurym nastroju. Wsiadł do samochodu i kurczowo zacisnął ręce na kierownicy. Po mniej więcej piętnastu minutach skręcił w zatoczkę przy szosie i wysiadł z auta. Poszedł kawałek przed siebie, napawając się ciszą. Wieczór był cudowny, ale on nie zwracał uwagi na otaczający go krajobraz. Chciał być sam ze swymi myślami.

Tylko zimna krew pozwoliła mu zachować twarz pokerzysty, gdy Abbey oznajmiła, że kiedyś używała nazwiska Linder. Słyszał o Gail Linder, a nawet do niej pisał. Była żoną jego przyjaciela, Micka Lindera. I to on nurkował z Mickiem, gdy ten ostatni zginął.

Niezależnie od tego, jak ułożą się ich stosunki, jedno nie ulega wątpliwości: kochał się z wdową po przyjacielu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jak to się stało, że tak się do siebie zbliżyli, nie wiedząc, kim są? To prawda, poznał ją jako Abbey Fraser, a nie Gail Linder. Miała prawo zmienić nazwisko. On też obecnie inaczej się nazywał - Abbey знаła go jako Johna C. Scotta. Mick zawsze nazywał go Scotty. Po śmierci Micka zrezygnował z drugiego członu nazwiska i pozostał przy pierwszym: Cameron. Jego bliscy wiedzieli, kim jest, ale nie chciał być identyfikowany jako człowiek odpowiedzialny za śmierć kolegi. A więc i on, i ona nazywali się teraz inaczej niż kiedyś.

Ona nie chciała rozmawiać o zmarłym mężu, on nie mówił za dużo o swojej przeszłości. Żadne z nich nie miało zamiaru nikogo oszukiwać, niemniej jednak oszukali się wzajemnie.

Ich spotkanie w zasadzie trudno uznać za zbieg okoliczności. Środowisko pletwonurków nie jest duże. Skoro Abbey utrzymywała z nim kontakty, prędzej czy później i tak by się poznali. Ale wolałby wiedzieć wcześniej, kim jest ta kobieta.

A teraz co ma zrobić? Abbey myśli, że to on ponosi winę za śmierć Micka. W pewnym sensie też tak uważał. Wciąż miewał koszmarne sny i zastanawiał się, czy wtedy postąpił właściwie. Kto to może wiedzieć?

A co będzie z Abbey? Uświadomił sobie zszokowany, że po raz pierwszy w życiu spotkał kobietę, która mogłaby go skłonić do ustabilizowania trybu życia. Kobietę, dla której byłby w stanie zrezygnować z włóczęgi. Nie był tego

jeszcze pewny na sto procent, ale wszystko wskazywało na to, że mogłoby się tak stać.

Czy ma jej wyznać prawdę? Są przecież tacy szczęśliwi. Po krótkim zastanowieniu uznał, że dłużej nie może ukrywać swej tajemnicy. Postanowił, że dalej nie będzie jej oszukiwać. Czy jednak stosunek Abbey do niego nie zmieni się, gdy pozna prawdę? Mówiła, że myśleli z Mickiem o rozwodzie, że ich miłość wygasała. Ale na pewno żywi do niego jeszcze jakieś resztki uczuć. Nikt nie mógłby nienawidzić Micka. Można było irytować się na niego, wściekać, ale nienawidzić - nie. Mick miał w sobie za dużo życzliwości dla innych.

Na pewno jednak Abbey może żywić nienawiść do człowieka, którego obwinia o śmierć męża.

A jakie są jego własne uczucia? Czego on chce? Utrata przyjaciela była dla niego ciosem, a teraz cierpiał na myśl o tym, że sprawi ból Abbey. Nie, nie może czerpać korzyści ze śmierci Micka. Nie może kochać się z jego żoną, skoro czuje się odpowiedzialny za to, co się stało. Musi zakończyć to, co zaledwie się zaczęło.

Z Aberdeen wrócił później, niż zamierzał. Zrobił to celowo, by mieć pewność, że Abbey już zasnęła.

Obudziła się w doskonałym nastroju. Spojrzała na niebo i uśmiechnęła się do siebie. Zapowiada się kolejny pogodny dzień.

Johna nie było na śniadaniu. Wpadł na motorówkę dosłownie w ostatniej chwili. Rzucił jej tylko przelotny uśmiech.

- Jak było w Aberdeen? - spytała. - Czy było ciężko?

- Wypadki są zawsze ciężkie - skwitował.

Na statku oznajmił jej, że czeka go sporo roboty papierkowej, więc raczej nie będą się widzieli. Spytał jednak, czy nie wybrałaby się z nim wieczorem na spacer.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać - dodał.

- Oczywiście, bardzo się cieszę - odparła nieco zaskoczona.

Ten dzisiejszy John zasadniczo różnił się od tamtego, którego, jak jej się wydawało, znała. Był jakiś nieswój, zagubiony. Unikał jej spojrzenia. A kiedy ona zatrzymała na nim wzrok, jego twarz przybierała nieodgadniony wyraz. Wzruszyła ramionami. Pewnie wczorajszy wypadek tak go przygnębił.

Przez cały dzień była bardzo zajęta. Kapitan poprosił, by przeprowadziła krótki kurs pierwszej pomocy dla załogi. John zupełnie zniknął jej z oczu. Dopiero podczas chwili przerwy na kawę z płetwonurkami spytała mimochodem, czy nie wiedzą, gdzie jest.

- Powiedział, że popełnił błąd i musi go naprawić - poinformował ją jeden z mężczyzn.

- Wydaje się jakiś dziwny - zauważył inny.

- Zaniosę mu kawę - zaofiarowała się Abbey.

- Proszę tego nie robić - powstrzymał ją pierwszy mężczyzna. - Widziałem go już kiedyś w takim nastroju. Jeśli ma problemy, chce, żeby go zostawić w spokoju.

Spotkali się więc dopiero na motorówce. John nie usiadł jednak jak zwykle obok niej.

- Przez cały dzień mnie unikałeś - powiedziała już na brzegu. - Jeśli coś się stało, chcę wiedzieć, może mogłabym pomóc.

- Nie stało się nic takiego, czego nie dałoby się naprawić - odparł. - Posłuchaj, Abbey, mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Ale chciałbym z tobą porozmawiać, tak jak mówiłem. Możemy się spotkać o ósmej?

- Oczywiście - zgodziła się, postanawiając, że odkryje, co go dręczy, i mimo wszystko postara się mu pomóc.

O ósmej była gotowa. Przeszli przez miasteczko i udali się na spacer wzdłuż klifu. Wzięła go za rękę.

- John - zaczęła, przerywając milczenie. - Znamy się od niedawna, ale myślę, że... że chyba się lubimy. Dzisiaj byłeś jakiś nieswój -kontynuowała. -



Unikałeś mnie. Dlaczego? Jeśli są jakieś problemy, może uda nam się je wspólnie rozwiązać. Możemy o tym porozmawiać. A jeżeli... już ci się znudziłam, cóż, pogodzę się z tym i będziemy dalej razem pracować. Ale chcę wiedzieć, o co chodzi - oznajmiła i pocałowała go w policzek.

John wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Abbey, nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty - wyznał zduszonym głosem. - I nigdy mi się nie znudzisz. Ale... musimy porozmawiać.

Szli dalej w milczeniu, aż znaleźli się w znanej im już samotni. Usiedli obok siebie na kamieniu.

- Mam wrażenie - zaczął John - jakbym cię znał od zawsze, choć poznaliśmy się zaledwie parę dni temu. Bardzo mało o tobie wiem. Postanowiliśmy, że skoncentrujemy się na teraźniejszości i przyszłości, ale przeszłość rzuca cień. Więc proszę cię, opowiedz mi o swoim mężu i o tym, co się wydarzyło. Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne.

- Wyszłam za Micka Lindera, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata - wyjaśniła Abbey, trochę zdziwiona, że John nie pytał jej o to wcześniej. - Był trochę szalony, a przy nim ja też stałam się szalona. Zdecydowanie za szybko wzięliśmy ślub. Poznałam go w klubie płetwonurków, uczył mnie nurkowania i za jego namową ukończyłam studium podyplomowe. Zamierzaliśmy objechać świat. On jako płetwonurek, ja jako lekarz. Ale nic z tego nie wyszło. -

Westchnęła. - Przez większą część naszego trwającego dwa lata małżeństwa Mick był poza domem. Miał wymówkę, że ja muszę opiekować się ojcem, co zresztą chciałam robić. On jednak, zamiast zostać ze mną, podejmował pracę a to w Australii, a to w Grecji, a to na Karaibach. Oddaliliśmy się od siebie. Poza tym Mick był nieodpowiedzialny, nie przywiązywał wagi do pieniędzy.

- Był niespokojnym duchem, tak jak ja? - spytał John.

- Nie sędzę. - Abbey potrząsnęła głową. - Po pierwsze, podejrzewam, że ty znasz wartość pieniądza. Nie pożyczalbyś, a potem zapominał oddać. Po drugie, masz poczucie odpowiedzialności, tak jak większość płetwonurków.

Mick tego nie miał. Stale gonił za czymś nowym i zapominał albo bagatelizował to, co powinien zrobić. Nudziłam go. Powinnam była przewidzieć, że tak się stanie.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że mogłabyś kogokolwiek znudzić - zdziwił się John.

- A jednak. - Abbey uśmiechnęła się blado. - Nawiasem mówiąc, Mick zginął podczas nurkowania. To było na małej wysepce na Karaibach. Nurkował z przyjacielem, niejakim Scottym. Mick go podziwiał, mówił, że to twardy facet. Zeszli pod wodę razem, ale tylko jeden z nich wypłynął. John, sam jesteś nurkiem, znasz zasadę. Nie opuszczasz swojego towarzysza! Tymczasem Mick został sam. Ten Scotty później kilka razy do mnie pisał. To były bardzo rozsądne listy, wydawał się przybity tym, co się stało. Ale ja uważam, że jest winien! Nie porzuca się towarzysza.

- Na ogół nie. Co było dalej?

- Nie polecałam na tę wyspę. Ciała nie odnaleziono. Tamtejsze władze zawiadomiły mnie, że prawdopodobnie nigdy nie zostanie odnalezione. Prowadzono śledztwo w tej sprawie i uznano, że był to nieszczęśliwy wypadek. Ojciec chorował, więc mój brat z Florydy wysłał prawnika, żeby dopilnował moich tak zwanych interesów.

- Ale teraz masz już to wszystko za sobą - powiedział John.

- Nie lubię do tego wracać. - Abbey rozplakała się. - Wiem, że nasze małżeństwo było skończone, ale to takie smutne, że Mick nie żyje. Wszyscy go lubili, nikomu nie zrobiłby krzywdy. A czasami, choć ostatnio już nie tak często, śni mi się po nocach. Ale to jest koszmarny sen, widzę jego martwe ciało pływające w morzu.

Poczuła, że John się wzdrygnął.

- Ten mężczyzna chyba cię skrzywdził - mruknął. - Ten Scotty, czy jak mu tam. Wciąż winisz go za to, co się stało?

- Muszę - odparła Abbey. - Mick był dobrym pletwonurkiem, więc jak mogło mu się coś nie udać? A poza tym nie porzuca się towarzysza. Mick umierał samotnie. - Otarła łzy. - Najwidoczniej ten Scotty naprawdę był twardzielem, i to dość bezwzględny. Bezpośrednio przed tą wyprawą uczestniczył w wyścigu „Mężczyzn z żelaza” na Hawajach. Wiesz, co to jest?

- Słyszałem. Podobno najcięższe zawody sportowe na świecie.

- Samo przystąpienie do takiej imprezy już o czymś świadczy - zauważyła Abbey. - Ci, którzy ukończą wyścig, robią sobie tatuaż na kostce u nogi. To specjalny typ facetów. Mick zawsze zazdrościł Scotty'emu. Niekiedy zastanawiam się, czy nie zginął, próbując za nim nadążyć.

Abbey zaczerpnęła głęboko powietrza i uśmiechnęła się do Johna przez łzy.

- Ale to już za mną. Czy nie możemy porozmawiać o czymś innym? Teraz ty opowiedz mi o sobie.

- Jest tylko jedna rzecz, którą powinnaś o mnie wiedzieć - rzekł John po długim milczeniu.

Uniósł nogę, podciągnął spodnie i zsunął skarpetkę. Na kostce widniał mały tatuaż. Poznała go, bo Mick przysłał jej rysunek. Wykropkowana litera M. Abbey wpatrywała się w nią osłupiała, nie wierząc własnym oczom,

- To tatuaż zawodnika - wyjaśnił John. - Nazywam się John Cameron Scott. Znasz mnie jako Scotty'ego.

Zapadła cisza. Abbey szeroko otworzyła oczy.

- Od kiedy wiesz, że jestem wdową po Micku? - wykrztusiła wreszcie.

- Od wczoraj. Kiedy zobaczyłem ten zaadresowany do ciebie list.

- Prawda - stwierdziła beznamiętnie. - Czy mógłbyś teraz odejść? Wrócę do domu sama.

Gdy John się oddalił, jeszcze przez dłuższą chwilę siedziała wpatrzona w morze. Znowu miała wizję, która kiedyś powtarzała się regularnie, a ostatnio

sporadycznie. Zobaczyła ciało męża, w kombinezonie pletwonurka, wydane na pastwę drapieżników morskich.

Tej nocy John nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, dręczony natrętnymi myślami. W pewnej chwili usłyszał jakiś szelest i zauważył kartkę papieru, którą ktoś wsunął pod drzwi. Nie musiał otwierać, by wiedzieć, kto to zrobił. Szybko przebiegł kartkę wzrokiem.

*Drogi Johnie!*

*Musimy razem pracować, a ponieważ jesteśmy oboje profesjonalistami, wierzę, że nam się uda. Nie spodziewam się jednak, że będę cię widywać tak często jak dotychczas. Jest jeszcze parę rzeczy, o które chciałabym cię zapytać, ale dopiero za jakiś czas. Żałuję, że nie wiedziałam, kim jesteś.*

*Abbey*

John podzielał jej odczucia. Gdyby wiedział, że jest wdową po Micku Linderze, wszystko ułożyłoby się inaczej.

Wciąż czuł ból po śmierci przyjaciela. Są ludzie, którzy zawsze wierzą w najgorszą wersję i ci uważali, że to on jest odpowiedzialny za wypadek. A przecież stracił towarzysza. Lubił Micka, mimo jego wad.

Uzmysłowił sobie teraz, że ciągła ucieczka, przemieszczanie się z miejsca na miejsce nie rozwiążą jego problemów. Przeszłość zawsze będzie dawać o sobie znać. To z jej powodu właśnie stracił Abbey. Dopiero teraz uświadomił sobie, ile dla niego znaczyła.

Jakoś zdołali przepracować razem cały dzień, i to tak, że pletwonurkowie nie zauważyli zmiany w ich relacjach. Mieli przed sobą ciężkie zadanie.

- Jest parę beczek zakleszczonych - wyjaśnił jeden z mężczyzn, zwracając się do Abbey. - Trudno je będzie wydobyć, musimy się pod nie dostać. Nie możemy ich tam zostawić, żeby zardzewiały. Zatrąłyby środowisko.

- Czy dużo ryzykujecie? - spytała.

- John zejdzie na dół z pierwszą grupą, żeby wszystko zorganizować. Jeśli istnieje jakieś ryzyko, to je podejmie. Ale może nie będzie żadnego zagrożenia.

Abbey poczuła, że serce mocniej jej zabiło. Niezależnie od tego, co myślała o Johnie, nie chciała, by narażał zdrowie, a tym bardziej życie.

- Czy masz dla mnie jakieś szczególne polecenia? - spytała, gdy schodził z trzema nurkami na platformę.

- Nie, przygotuj to, co zwykle.

- Powodzenia - rzuciła.

Po pewnym czasie wrócił z pierwszą ekipą, a pod wodę zeszła następna. Na razie wydawało się, że cała operacja przebiegnie bez zakłóceń, choć wydobywanie beczek rzeczywiście nie będzie łatwe.

Abbey przebywała akurat w swoim gabinecie, gdy usłyszała na pokładzie nagły tupot nóg i krzyki. Zmartwiała. Ostatnia ekipa nurków powinna już wrócić.

Wyszła zobaczyć, co się dzieje. Wszyscy skupili się wokół Johna, który mówił coś pilnie do ekipy znajdującej się pod wodą. Byli wyraźnie przejęci.

- Co się stało? - Abbey zwróciła się do najbliższego mężczyzny.

- Beczki poruszyły się i zsunął się jeden z dźwigarów, który je podtrzymywał. Terry Murphy jest uwięziony, koledzy nie mogą go wydostać.

- Ile powietrza mu zostało? - spytała zaniepokojona.

- Na razie sporo, ale to nie problem. Damy mu dwie zapasowe butle, więc będzie mógł oddychać.

- Jest już długo pod wodą - zauważyła Abbey.

- Jeśli pozostanie tam jeszcze przez jakiś czas, wystąpi zagrożenie narkozą azotową. Mówisz, że jest unieruchomiony, ale czy nie jest ranny?

- Nie dowiemy się, dopóki go nie wydostaniemy.

- Mężczyzna wzruszył ramionami.

Abbey przepchnęła się przez tłum. John wydawał polecenia jednemu z nurków.

- Wiesz, że jestem pletwonurkiem i lekarzem - powiedziała, podchodząc do niego. - Jeśli mam się na coś przydać, to chcę zejść pod wodę. I nie chcę słuchać bzdur, że jestem amatorką i kobietą - dodała z naciskiem.

- Gdybym uważał, że możesz pomóc, wezwałbym cię. - John uśmiechnął się z wysiłkiem. - Ale to nie jest przypadek medyczny, w każdym razie jeszcze nie. To problem techniczny. Posłałem po palnik tlenowo-acetylenowy. Będzie trzeba przeciąć jego pułapkę. Wezmę też podnośnik.

- Już dzisiaj raz nurkowałeś - zaprotestowała Abbey.

- Wiem, ale to sprawa nagła, a nie przekroczyłem jeszcze limitu czasowego.

- Będziesz ostrożny? - upewniła się.

- Zawsze jestem ostrożny pod wodą - odrzekł.

- Czterech z nas schodzi na dół. - John odwrócił się do nurków. - To powinno wystarczyć. Ale pozostali mają być w pogotowiu. Mike, ty weź telefon, będę ci przekazywał wiadomości.

John z trzema nurkami zszedł na gumową platformę, po czym znikł pod wodą. Na statku nikt się nie poruszył. Wszyscy wpatrywali się w Mike'a, który miał z nim łączność. Kapitan Farrow stanął obok Abbey.

- Czekanie jest najgorsze - stwierdził.

- Czy pan wie, co się stało? Co należy robić? - Abbey zwróciła na niego wzrok.

- Musimy czekać - odparł kapitan.

Po dłuższej chwili Mike odebrał wiadomość.

- John jest już z Terryem - przekazał kolegom informację. - Wymienił butle, Terry ma teraz zapas powietrza.

Znowu zapadła cisza. Wszyscy zebrani byli myślami na dole, wyobrażając sobie, co się tam dzieje.

- John mówi, że dźwigar unieruchomił Terry'emu uda - relacjonował Mike. - John będzie musiał przeciąć stal. Żeby to zrobić, musi położyć się na

plecach pod dźwigarem. Jest tam bardzo mało miejsca, więc zdejmie butlę i umieści ją obok siebie. Ma nadzieję, że dźwigar nie osunie się na niego.

Przez tłum przeszedł szmer zgrozy.

- Ależ on ryzykuje życie! - zawołała Abbey do kapitana.

- Być może. Ale chyba to pani nie dziwi - odrzekł ze spokojem kapitan.

- Przekaż lekarce, że Terry jest ranny, ale ma czucie w nodze i porusza palcami - brzmiał następny komunikat Johna.

To bardzo dobry znak, świadczący o tym, że w nodze jest krążenie. Ale niewykluczone, że mogło wystąpić krwawienie wewnętrzne.

- John mówi, że kończy przecinać dźwigar -oznajmił Mike. - Ustawia podnośnik.

- Miejmy nadzieję, że dźwigar się nie osunie - odezwał się jakiś głos i Abbey zadrżała.

- John! Nic ci nie jest? - rozległ się nagle krzyk Mike'a. - John, co się stało?

Abbey wyczuwała rosnące napięcie wśród zgromadzonych na pokładzie mężczyzn.

- A więc wszystko w porządku? - upewniał się Mike. - Jesteś pewien, że nie potrzebujesz...? To dobrze.

- Był jakiś problem z palnikiem. - Mike odwrócił się do kolegów. - Dźwigar niespodziewanie pękł. Uderzył w palnik i John oparzył sobie bark. Koledzy zdusili płomień, ale...

- John może być w szoku - dokończyła Abbey.

- Niech wyjdzie na powierzchnię pierwszy - polecił spokojnie kapitan.

- Czterej chłopcy są już w drodze na górę - przekazał Mike.

Na platformę zeszli ze statku trzej nurkowie, żeby pomóc kolegom wydostać się z wody.

- Obaj ranni mogą sami wspiąć się na platformę, ale tam od razu ułóżcie ich na noszach i przenieście na pokład - komenderowała Abbey, która teraz

wkroczyła do akcji. - Potem zanieście ich prosto do mojego gabinetu, bez dyskusji. Kapitanie, może pan to zorganizować?

- Oczywiście - odparł. - Mam posłać po helikopter?

- Najpierw sprawdzę, w jakim są stanie. - Abbey potrząsnęła głową. - Ale chciałabym, żeby tak czy inaczej jak najszybciej znaleźli się na lądzie.

- Wyruszymy, gdy tylko znajdą się na pokładzie. Abbey udała się do gabinetu przygotować się na przyjęcie rannych. John przeszkolił ją w zakresie działania komory ciśnieniowej, więc orientowała się, jak ma postępować. Najpierw zbada i umieści w komorze Terry'ego. Dokonała szybkiego obliczenia, uwzględniając czas przebywania pod wodą i głębokość. Mogło być gorzej. Miała nadzieję, że rany na udach nie są poważne, ale musi to najpierw sprawdzić.

Zaczęła zastanawiać się nad oparzeniami Johna. Chwilowo jedyne, co będzie mogła zrobić, to opatrzyć obrażenia. Następnie skieruje Johna na oddział specjalistyczny. Większe niebezpieczeństwo stanowi wstrząs. Gdy John znajdzie się na pokładzie, jego przeciążony układ nerwowy może odmówić posłuszeństwa.

Usłyszała za drzwiami ruch i za moment wniesiono pierwszego rannego, Terry'ego Murphy'ego. Abbey pochyliła się nad nim i uśmiechnęła.

- Już po wszystkim, Terry - powiedziała. - Zaraz się tobą zajmę. Jak twoje nogi?

- Tylko poobijane - odparł, wiedząc, czego się obawia. - Nie bardzo bolało i mogę poruszać palcami i stopą. Myślę, że krążenie nie ustało.

- Dobrze. Wiesz, że pójdziesz do komory?

- Przynajmniej sobie odpocznę.

Abbey poleciała dwóm mężczyznom, żeby zdjęli z Terry'ego kombinezon, i podeszła do Johna, którego właśnie wniesiono.

Usiłował usiąść, ale położyła mu rękę na ramieniu i przytrzymała go w pozycji leżącej.



- Jak tam Terry? - spytał, z trudem wymawiając słowa. Najwyraźniej cierpiał z bólu.

- Na razie dobrze. Uwolniłeś go w porę. Dobra robota, John. A teraz powiedz, czy masz jeszcze jakieś obrażenia oprócz barku?

- Wystarczy mi, dzięki - usiłował zażartować.

Spojrzała na jego pobielającą twarz i umknęła wzrokiem w bok. Widziała, że cierpi, ale nie chce się do tego przyznać. Przyjrzała się jego obrażeniom. Materiał kombinezonu stanowił pewną ochronę, ale przez wypalony otwór widziała ciemniejące ciało. Bardzo ostrożnie dotknęła tego miejsca palcami w rękawiczce.

- Czy to boli, John? - spytała.

- Tak! - Zacisnął zęby.

Nie chciała mu sprawić bólu, lecz wiedziała, że ból to dobry objaw. Gdyby nic nie czuł, oznaczałoby to nieodwracalne zniszczenie tkanki.

- Możesz rozciąć ten kombinezon i go zdjąć? - zwróciła się do jednego z nurków. - Tylko staraj się go w miarę możliwości nie ruszać.

- Nie pozwolę mu rozciąć kombinezonu - zaprotestował gwałtownie John.

- Więc ja to zrobię - oświadczyła spokojnie Abbey. - Dobrze wiesz, że na moim miejscu postąpiłbyś tak samo - dodała i podała mu morfinę, by uśmierzyć ból.

Niewiele mogła działać sama. W przypadku oparzenia konieczne jest leczenie specjalistyczne, nawet przeszczepienie skóry. Abbey pokryła więc oparzone miejsce specjalnym żelem i miała nadzieję, że John odzyska pełną sprawność w ręce i barku.

Usłyszała pukanie do drzwi. W progu stanął Larry Kent. Miał poważny wyraz twarzy.

- Mam wiadomość od kapitana, pani doktor - oznajmił. - Karetka będzie czekać na nabrzeżu, powinniśmy dobić do portu za około czterdzieści pięć minut. Kapitan pyta, czy w tym czasie może się do czegoś przydać.

- Radzimy sobie - odparła Abbey. - Przekaż kapitanowi, że sytuacja jest opanowana i nie zachodzi zagrożenie życia:

- Przekażę. Dobrze, że mamy na pokładzie lekarza - rzucił na odchodnym. John leżał z zamkniętymi oczami. Morfina zadziałała. Abbey w regularnych odstępach czasu sprawdzała jego puls i temperaturę. Przykryła go jeszcze jednym kocem, starła wodę z ciała. Miał opaloną, ale delikatną skórę. Pochyliła się nad nim, przypominając sobie, jak jeszcze dzień wcześniej pieszczotliwie ją gładziła.

John najwyraźniej wyczuł jej obecność. Zamrugnął powiekami i na chwilę otworzył oczy.

- Co za pasztet! - mruknął i z powrotem opuścił powieki.

Abbey nie miała pojęcia, do czego odnosiły się te słowa. Do wypadku? A może do ich sytuacji?

Dziesięć minut później wpływali do portu. Na nabrzeżu stał ambulans, w motorówce czekali dwaj ratownicy. Była szczęśliwa, że może przekazać rannych w ich ręce. Ale jej praca jeszcze się nie skończyła. Czekają ją sporządzenie raportu.

- Da mi pan znać, co z nimi, jak tylko otrzyma pan jakieś informacje? - zwróciła się do kapitana.

- Oczywiście. - Farrow popatrzył na nią w zadumie. - Dobrze sobie pani radziła - stwierdził. - Już po raz drugi okazała się pani bardzo pomocna.

- To moja praca. Na oddziale ratunkowym zajmowałam się znacznie gorszymi przypadkami.

- Ale w szpitalu miała pani sztab ludzi do pomocy i całe zaplecze. A tutaj... była pani praktycznie zdana na własne siły. Dobra robota, pani doktor. A jak jutro? Gotowa do pracy?

- Oczywiście. - Abbey zaskoczyło to pytanie. - Ale jak pan sobie poradzi?

- Towarzystwo, które nas wynajęło, przyśle na zastępstwo szefa pletwonurków - wyjaśnił kapitan. - Zostanie z nami, dopóki John nie odzyska formy. Nie możemy przerwać pracy.

Abbey wróciła do hostelu. Dopiero teraz poczuła, że jest wykończona. Poza tym była głodna jak wilk. Zjadła obfitą kolację, wzięła prysznic i położyła się do łóżka. Jeszcze raz odtworzyła w myślach wydarzenia mijającego dnia. Była zadowolona z tego, co zrobiła. Niepokoiło ją tylko jedno.

Kiedy usłyszała, że John jest ranny i że będzie musiała go opatrywać, poczuła... Właśnie, co poczuła? Nie był zwykłym pletwonurkiem, jednym z wielu, był dla niej kimś szczególnym. Człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć jej męża. Wiedziała o tym, a on to potwierdził. Powinna go więc nienawidzić, a przynajmniej nie chcieć mieć z nim do czynienia.

Był jednak również pierwszym mężczyzną, z którym kochała się od czasu śmierci Micka. I teraz uzmysłowiła sobie, że nie był to zwykły akt fizyczny, ale coś więcej.

Co ma zatem zrobić? Nie, to nie jest właściwe pytanie. Co powinna czuć? Nie wiedziała.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Następnego dnia kapitan Farrow poprosił Abbey, by skontaktowała się ze szpitalem w sprawie Johna i Terry'ego. Dowiedziała się, że stan Terry'ego jest zadowalający i niebawem go wypiszą. Jeśli zaś chodzi o Johna, to poinformowano ją, że nie będzie potrzebna transplantacja skóry. Jednak blizna pozostanie.

- Jakim on jest pacjentem? - zapytała.

- Ku mojemu zaskoczeniu - pielęgniarka stłumiła śmiech - nawet zdyscyplinowanym. Widzę, co prawda, że się już niecierpliwi, ale zdaje sobie sprawę, że dla własnego dobra powinien zachować spokój. Chce jak najprędzej wrócić do pracy. Musi być szalony!

- Niekiedy mam wrażenie, że wszyscy pletwonurkowie są szaleni - zgodziła się z nią Abbey.

- Być może, choć rzadko do nas trafiają - stwierdziła pielęgniarka. - Chce pani z nim porozmawiać? Nie leży, więc mogę go poprosić.

- Nie, nie ma sensu go niepokoić - zaprotestowała Abbey. - Proszę mu tylko powiedzieć, że koledzy o niego pytali i że życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia.

- To pani nie jest... - siostra zawahała się -jego bliską przyjaciółką?

- Nie, jestem jego lekarką, pracujemy razem na statku - wyjaśniła Abbey.

- Cóż, kiedy go przywieźli, był trochę otepiały po lekach przeciwbólowych. Spytaliśmy go o najbliższą rodzinę, o kogoś, kogo moglibyśmy informować o jego stanie. Odparł, że nie ma rodziny, a jeśli mamy coś do przekazania, to lekarce. Przypuszczam, że chodziło o panią?

- Owszem - przyznała Abbey.

- Wypiszemy go za tydzień - dodała pielęgniarka.

- Ale przez pewien czas musi oszczędzać bark.

Abbey telefonowała każdego dnia na oddział oparzeń i zawsze pytano ją, czy chciałaby porozmawiać z Johnem. Niezmiennie odpowiadała, że nie.

W dzień po wypadku przyjechał instruktor, który miał go zastępować. Nazywał się Frank Sellars, był pogodnym mężczyzną w średnim wieku. Pokazywał wszystkim dokoła zdjęcia trójki swoich dzieci. Abbey polubiła go od pierwszej chwili.

- Słyszałem, że dokonuje pani niezwykłych rzeczy - zauważył, kiedy zostali sobie przedstawieni.

- Chłopcy są wpatrzeni w panią jak w obraz.

- Po prostu wykonuję swoje obowiązki - rzekła Abbey z uśmiechem.

- Gdyby kiedyś zaproponowano mi współpracę z panią, nie wahałbym się ani chwili. Niewielu jest lekarzy znających się na specyfice nurkowania.

Przez następne dni Abbey była bez reszty pochłonięta pracą. Co pewien czas jednak uzmysławiała sobie, że John wkrótce wróci. Będzie musiała jakoś się uporać z tą sytuacją. Nie mogła jednak wyzbyć się myśli, że jeśli ktokolwiek jest odpowiedzialny za śmierć Micka, to właśnie on. W każdym razie zawsze tak sądziła. Ale teraz, gdy poznała Johna, jakoś nie mogła się z tą myślą pogodzić. Doszła do wniosku, że musi podjąć pewne decyzje.

Przyjechała tutaj, by zacząć nowe życie i po obiecującym początku znowu dopadł ją chaos przeszłości. Nie była z tego zadowolona. Po powrocie do hostelu wyjęła z plecaka grubą plastikową teczkę. Minęły dwa lata od czasu, gdy ją przeglądała. Może powinna się jej pozbyć? Nie, jeszcze nie teraz.

Wsunęła teczkę do torby, włożyła sportowe buty i wybrała się na spacer wzdłuż klifu. Nie odwiedzała swego ustronia od dnia, kiedy John wyznał jej, kim jest. Teraz postanowiła spędzić tam samotnie trochę czasu.

Usiadła na kamieniu i po krótkim namyśle otworzyła teczkę. Były w niej trzy pliki listów, a prawie do każdego dopięta kopia odpowiedzi. Pierwsza seria listów pochodziła od męża z czasów, gdy przebywał na Karaibach. Drugi plik zawierał listy od konsula brytyjskiego z wysepki, u wybrzeży której zginął Mick. Nadawcą listów z trzeciego zestawu był mężczyzna podpisujący się J.C. Scott. Teraz wiedziała już, że pod tym nazwiskiem krył się John Cameron. Jakżeż jej opinia na temat Johna Camerona różniła się od tej o J.C. Scotcie! Czy to możliwe, że chodzi o tego samego mężczyznę?

Choć sprawa była bolesna, nie mogła się wahać. Zaczęła czytać listy, by się przekonać, czy czas nie zmienił jej oceny sytuacji.

To było od początku szaleństwo typowe dla Micka. Każdy nurek ma sekretne chłopięce marzenie: znaleźć zatopiony skarb. Abbey słyszała niejedną opowieść na ten temat.

Na ogół praca nurków jest prozaiczna i monotonna. Przeprowadzają kontrole dna wież wiertniczych, pomagają umacniać obmurowania portów, sprawdzają stan kadłuba statków. Ale wszyscy marzą o podwodnym skarbie.

Sporadycznie ich marzenia przybierają realny kształt. Jednak skarb w dzisiejszych czasach udaje się odnaleźć jedynie dużym ekipom w dużych łodziach wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt, a nie dwóm nurkom w małej łódce z akwalungiem. Ale Mick był opętany tą ideą.

Przed laty trasa między Miami a Karaibami była miejscem kwitnącego przemytu. Krążyły pogłoski o łodzi pełnej pieniędzy, która wracając z Ameryki, zatonała podczas huraganu. Pieniądzy nigdy nie znaleziono, choć wielu ich szukało.

Mick poznał gdzieś specjalistę od komputerów, zafascynowanego tą historią, któremu udało się w miarę dokładnie określić miejsce, gdzie łódź poszła na dno. Nie chciał zapłaty, jedynie obietnicę udziału, jeśli poszukiwania skarbu zostaną uwieńczone sukcesem. Według Micka świadczyło to o tym, że ten mężczyzna jest uczciwy, według Abbey - że jest marzycielem.

Oczywiście Mick nie mógł sobie pozwolić na wynajęcie łodzi, sprzętu i towarzysza do nurkowania. Abbey jednak było na to stać. Zajmowali małe mieszkanie, oszczędzając pieniądze na dom. Ściśle biorąc, oszczędzając jej pieniądze. Mick miał co prawda dużo zleceń, ale w przeciwieństwie do większości kolegów po fachu, nie wykonywał swoich obowiązków najrzetelniej.

- Kochanie - przekonywał Abbey, chcąc ją namówić na sfinansowanie wyprawy - to nasza szansa. Znajdę tę łódź i będziemy mogli iść na emeryturę. Jeździć, dokąd nas oczy poniosą, i robić to, co tylko przyjdzie nam do głowy.

- Ale ja nie chcę żadnej emerytury. Lubię swoją pracę - protestowała Abbey.

- Objedziemy świat! Masz przecież specjalizację lekarza płetwonurków. Zawsze znajdziesz zajęcie, jeśli tylko zechcesz.

- Kiedy ja lubię miasto, w którym mieszkam - upierała się Abbey.

- Lubisz ten zgniły, deszczowy Londyn? Spójrz tylko!

No tak, akurat padało i miasto nie wyglądało zachęcająco. Mick znowu miał okres przerwy między jednym kontraktem a drugim. Nie otrzymywał już

tylu zleceń co kiedyś, a Abbey nie chciała się zastanawiać nad przyczyną tego stanu rzeczy.

- Posłuchaj, Abbey, zgódź się po raz ostatni na szaleństwo. Jeśli okaże się niewypałem, ustatkuję się, przyrzekam.

- Daj mi tydzień na zastanowienie - powiedziała. Po dwóch dniach Mick wyjął z ich wspólnego

konta wszystkie oszczędności. Kiedy Abbey się o tym dowiedziała, było już za późno.

- Cóż, miałem okazję załatwić łódź - oświadczył, bynajmniej niespieszony.

- Miałaś dużo pracy, a twój ojciec był chory, nie chciałem ci zawracać głowy.

W tym momencie Abbey uświadomiła sobie, że ich małżeństwo jest skończone. Nie sposób być żoną Micka. Mimo wszystko spróbuje...

Postanowiła, że będzie odpisywać na jego listy, postara się go wspierać. Wysyłała dwa, trzy listy tygodniowo, otrzymywała jeden. O ile miała szczęście.

Początkowo Mick był pełen nadziei. Znalazł nowego towarzysza, mężczyznę o imieniu Scotty.

*„Polubiłabyś go, Abbey - pisał. - Może jest trochę zbyt praktyczny, za bardzo zorganizowany. Wszystko robi ściśle według przepisów. Mówi, że będzie dla mnie pracował za pensję, bo nie wierzy, że ta łódź się znajdzie. Udowodnię mu, że się myli!”*

Było jeszcze parę uwag na temat Scotty'ego - że jest twardy, że brał udział w zawodach na Hawajach.

*„Myślisz, że powinienem trenować, żeby też w nich kiedyś uczestniczyć, Abbey? Chciałbym.”*

Potrząsnęła głową, czytając te słowa. Czy Mick w ogóle siebie nie znał? Przecież nie byłby w stanie ciężko i systematycznie trenować.

Z czasem jego listy stały się krótsze i przychodziły coraz rzadziej. Ich treść wskazywała, że jest w złym nastroju.

*„Bywa, że nie mogę znieść Scotty'ego. Wlecze się, robi wszystko tak, jak zostało zaplanowane. Żadnej fantazji! Mówi, że musimy trzymać się planu, że w przeciwnym razie po co nam w ogóle jakiś plan. Nigdy w życiu nie było go stać na odrobinę szaleństwa!”*

Życie Micka było jednym wielkim pasmem szaleństwa. Kiedy pieniądze zaczęły się kończyć, poprosił, by przysłała więcej.

*„Jestem pewien, że możesz skombinować trzy czy cztery tysiące. Byłem zmuszony pożyczyć nawet od Scotty'ego.”*

Ponieważ odmówiła, obudził ją w środku nocy telefon.

- Jesteśmy małżeństwem, prawda? - krzyczał Mick. - Co twoje, to moje, czyż nie? Pieniądze też.

Odłożyła słuchawkę i napisała mu, że uważa ich małżeństwo za skończone. Nigdy nie odpowiedział na ten list i nigdy już do niej nie napisał.

Następną wiadomość otrzymała od konsula brytyjskiego. Zdarzył się wypadek, Mick zaginął podczas nurkowania. Wszystko wskazuje na to, że nurkował sam i po prostu nie wypłynął na powierzchnię. Ciała nie znaleziono. Wyraży współczucia.

Abbey nie poleciała na Karaiby. Ojciec był poważnie chory, a poza tym nie widziała ku temu powodu. Konsul wyjaśnił jej, że jeśli ciało nie wypływa od razu, to nie wypłynie nigdy. Na tych wodach są rekiny. Przeprowadzono dochodzenie i orzeczono nieszczęśliwy wypadek. Nic więc nie mogła zrobić. Ale miała poczucie winy. W swoim ostatnim liście prosiła przecież Micka o rozwód.

Trzy następne listy, które wyjęła z teczki, pochodziły od Scotty'ego. Czytając je teraz ponownie, stwierdziła, że są przemyślane i rozważne. Scotty pisał, jak jest przygnębiony i ile radości sprawiało mu nurkowanie z Mickiem. Pisał, z jaką miłością Mick o niej opowiadał. Gdyby chciała, odwiedzi ją w Londynie. Czuł się winny. Od razu odpisała, że nie chce się z nim widzieć i spytała bez ogródek, dlaczego Mick nurkował sam.



*„Chwilami nurkowie mają odmienne zdanie na temat kryteriów bezpieczeństwa. Uznałem, że warunki nie są sprzyjające, więc wróciłem na łódź. Mick postanowił kontynuować poszukiwania. Kiedy po pewnym czasie nie wypłynął, zszedłem pod wodę sprawdzić, co się z nim dzieje. Ale nie było po nim śladu.”*

Abbey ponownie mu odpisała, stwierdzając, że to raczej mało przekonująca historia, ale musi ją zaakceptować. Dodała, że jest odpowiedzialna za długi męża i spytała, ile jest mu winna. Poprosiła o podanie numeru konta.

Odpowiedział, że Mick nic mu nie był winien. Wspólnie zdecydowali się na podjęcie ryzyka wiążącego się z poszukiwaniem skarbu.

Na tym korespondencja się zakończyła. Czytając te listy ponownie, Abbey próbowała racjonalnie podejść do tego, co się stało. Jeśli ma być szczerą, jest zaledwie parę rzeczy, które wymagają zastanowienia. Pozostał jednak problem zasadniczy. Dlaczego Mick kontynuował nurkowanie w pojedynkę?

Następnego dnia znowu padał deszcz. Abbey oparła się o burtę. Doszła do wniosku, że jej nowe życie wcale nie jest tak radosne, jak tego oczekiwała.

- Tęsknisz za Johnem? - spytał Larry, stając obok niej.

- Właściwie nie - odparła, choć Larry trafił w sedno. - Myślę, że po wypadku każdy jest trochę zdenerwowany.

- To prawda - przyznał Larry. - Frank Sellars jest w porządku, ale daleko mu do Johna. Wiesz, pomyślałem sobie, że moglibyśmy zjeść razem kolację. To oczywiście nie będzie żadna randka, po prostu spotkanie kolegów z pracy. Znam niezłą restaurację w pobliskim mieście.

- Dobrze - zgodziła się Abbey. W końcu dlaczego nie mieliby gdzieś razem pójść? - Tylko się przebiorę. Może... za godzinę? Ale pamiętaj, spotkanie kolegów przy drinku - zastrzegła. - Nic poza tym.

Wspólny wieczór okazał się bardzo przyjemny. Pojechali czerwonym sportowym samochodem Larry'ego do restauracji w mieście oddalonym o około

pięćdziesiąt kilometrów od Dunlort. Po posiłku, do którego zamówili butelkę białego wina, poprosili kawę.

- Jak będzie między wami, gdy John wróci? - spytał Larry.

- Będzie dobrze - odparła krótko Abbey, nie spodziewając się takiego pytania. - Dlaczego miałyby być inaczej?

- Przez kilka dni wydawało się, że jesteście sobie bardzo bliscy - zauważył Larry. - A potem coś się chyba popsulo. Zastanawiałem się... czy była to kłótnia kochanków, czy coś poważniejszego.

- Za bardzo interesujesz się moimi sprawami.

- Jestem zazdrosny.

- O mnie? To niemożliwe! Prawie mnie nie znasz.

- Poznałem cię przez ten czas, odkąd z nami jesteś, i podobasz mi się.

Lubię cię...

Abbey nie wiedziała, jak zareagować. Nie mogła być na Larry'ego zła. Zachowywał się poprawnie. Westchnęła. Jej nowe życie staje się bardziej skomplikowane, niż mogłaby przypuszczać.

- Też cię lubię, Larry - odrzekła. - Jesteś dobrym pierwszym oficerem i kolegą. Ale niezależnie od tego, co jest między mną a Johnem, z tobą tak nie będzie. Wybacz, ale chcę być wobec ciebie uczciwa.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Nie wrócę już więcej do tego tematu. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Możesz prowadzić? - spytała, gdy wstali od stolika. - Wypiłeś więcej wina niż ja.

- Mogę. Ureguluję tylko rachunek i spotkamy się przy wyjściu.

Gdy wychodzili na ulicę, Larry potknął się, więc wzięła go pod rękę. W drodze powrotnej milczeli. Larry był skoncentrowany. Jechał może trochę za szybko jak na krętą drogę, ale niewątpliwie był dobrym kierowcą.

Być może nie była to wyłącznie jego wina. W pobliżu Dunlort znajdował się wyjątkowo ostry zakręt. Jakiś farmer musiał wtedy jechać traktorem, bo szosa

była śliska, pokryta błotem. Samochód Larry'ego wpadł nagle w poślizg, wyleciał z drogi i wylądował w rowie.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Abbey usłyszała śpiew ptaków i daleki odgłos silnika samochodowego. Uspokoila się, poruszyła, sprawdzając, czy nie jest ranna, i odwróciła się do Larry'ego.

- Nic ci nie jest? - spytał z niepokojem.

- Nie. A tobie?

- Też nie. Bardzo cię przepraszam, Abbey. Chyba za szybko jechałem.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy głos Larry'ego brzmi trochę niewyraźnie? Może uderzenie w głowę spowodowało poważniejsze obrażenia? Zanim go jednak o to zapytała, Larry wysiadł i rozejrzał się dokoła. Gdy usiadł z powrotem za kierownicą, był przerażony.

- Nadjeżdża wóz policyjny - zauważył.

- To dobrze - ucieszyła się Abbey. - Wezwą pomoc.

- Nie rozumiesz. Tutejsza policja jest cięta na kierowców po alkoholu.

Każą dmuchać każdemu, kto wydaje im się choć trochę podejrzany.

- Ale ty nie piłeś...

- Byłem dziś zdenerwowany - przerwał jej Larry. - Zanim po ciebie przyjechałem, wypilem dwie podwójne whisky, a kiedy płaciłem rachunek, jeszcze jedną. Zrobią mi test, mogę stracić pracę.

- Szybko, przechodź na moje siedzenie - poleciła Abbey. - I spuść głowę.

- Co chcesz zrobić?

Ale Abbey już wyskoczyła z auta i przebiegła na stronę kierowcy.

- Rusz się, Larry! Ja siądę za kierownicą. Prawie nie piłam.

- Naprawdę, zrobisz to dla mnie? - Larry nie wierzył własnym uszom.

- Rusz się! - ponagliła go.

Kiedy zjawili się policjanci, zastali zmartwioną parę, której samochód wypadł z szosy. Kobieta prowadziła, mężczyzna siedział obok.

- Czy ktoś jest ranny? - spytał policjant. - Mamy wezwać karetkę?

- Myślę, że jako tako panujemy nad sytuacją - powiedziała Abbey.

Godzinę później siedzieli w samochodzie pomocy drogowej, który holował auto Larry'ego do Dunlort.

- Policjant dobrze wiedział, że to ja prowadziłem - mruknął Larry. -  
Poznałem to po jego oczach. A kiedy powiedział ci, żebyś była ostrożna, miał na myśli mnie.

- Zrobił mi test i to wszystko - skwitowała Abbey.

- Nie wracajmy już do tego.

- Wybaczysz mi, że się upiłem?

- Ryzykowałeś życie swoje, moje i innych użytkowników szosy. Możesz sobie sam wybaczyć?

- Nie bardzo.

Wysiedli przed hostelem, podczas gdy laweta odwiozła samochód do warsztatu.

- Idę do siebie - oświadczył Larry. - Mam parę rzeczy do przemyślenia.  
Dziękuję ci. Dobranoc.

Abbey została jeszcze chwilę na dworze i obserwowała port. Gdy weszła do środka, w korytarzu zobaczyła Johna.

- Co ty tu robisz? - wykrzyknęła zdziwiona. - Powinieneś być w szpitalu.

- Nie trzymają tam ludzi wiecznie. Przekonałem ich, żeby mnie wypisali.

- Jak się czujesz? Jak bark? - zapytała.

- Jeszcze jest trochę sztywny. Mam zapas opatrunków, myślę, że będę mógł nurkować.

- Jeśli ci pozwolę - zaznaczyła. - Najpierw muszę zobaczyć wypis.  
Chciałam wstąpić na kawę do bufetu. Pójdiesz ze mną? - zaproponowała po chwili.

- Czemu nie? - Weszli do bufetu i kupili w automacie kawę.

- Prowadzisz bardzo ekscytujące życie - zauważył chłodno. - Czy Larry rozbił samochód, jak jechaliście razem?

- Nie rozbił go. Wypadliśmy z szosy - skorygowała.
- Nic ci się nie stało? - John przyjrzał się jej bacznie.
- Nic.
- Larry Kent ma skłonności do zbyt szybkiej jazdy. Jest niebezpieczny.

Pił?

- Kiedy policja nas znalazła, ja siedziałam za kierownicą - powiedziała Abbey.

- Pozwolił ci prowadzić swój samochód? - John był zaskoczony. - Przecież to jego skarb. Musicie być w bardzo dobrej komitywie.

Ton Johna wyraźnie wskazywał, że nie jest zachwycony jej spotkaniem z Larrym. Cóż, jest wolna, John nie ma do niej żadnych praw.

- Jeśli nawet, to moja sprawa, nie sądzisz? — odparowała.

- Oczywiście - przyznał ze spokojem.

- Nie wiem, po co ci to mówię, bo to naprawdę nie twój interes. -

Westchnęła. - Ale tego wieczoru już raz skłamałam, a nie lubię kłamać. Powiem ci coś w zaufaniu.

- Potrafię dochować tajemnicy. - Popatrzył na nią zaintrygowany.

- To dobrze. Nie chcę, żebyś cokolwiek mówił czy robił w tej sprawie. Po pierwsze, poszliśmy z Larrym na kolację jako koledzy, to wszystko. Po drugie, wypił trochę za dużo, wpadliśmy do rowu, a ja siadłam za kierownicą, żeby nie musiał dmuchać w alkomat.

- Poprosił cię o to? - spytał ostro John.

- Nie, sama mu to zaproponowałam. I cieszę się, że to zrobiłam.

- Jesteś dobrym przyjacielem - stwierdził. - Mam nadzieję, że to docenił.

- Ja też. Ale nie chciałabym po raz drugi wsiąść z nim do samochodu.

- Cieszę się, że powiedziałaś mi prawdę, Abbey. I dochowam tajemnicy, choć chętnie zamieniłbym słówko z Larrym. A teraz już pójde, dobranoc.

Przez następnych kilka dni na „Hildzie Esme” było dwóch szefów pletwonurków. Frank Sellars dowodził załogą, dopóki nie stało się pewne, że

John może podjąć swe obowiązki. Obaj mężczyźni wydawali się zadowoleni z takiego rozwiązania.

Abbey już pierwszego dnia po wypisaniu Johna ze szpitala obejrzała jego bark i sprawdziła zakres ruchów. Stała właśnie na pokładzie, gdy podszedł do niej Larry.

- Chciałbym cię znowu zaprosić na kolację - o-świadczył. - Dokładnie za trzy miesiące.

- Za trzy miesiące? - Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Będę pił tylko wodę mineralną - dodał. - Zeszłej nocy podjąłem decyzję. Wiesz, Abbey, jestem alkoholikiem. Zadzwoiłem do przyjaciela, a on dał mi kontakt do AA. Zamierzam wziąć udział w terapii. Nie będę już pił.

- Postawiłeś sobie trudne zadanie - zauważyła Abbey. - Ale jeśli wytrzymasz trzy miesiące bez picia, a ja będę w pobliżu, z największą przyjemnością pójdę z tobą na kolację. Powodzenia, Larry.

- Dzięki.

Abbey zamyśliła się. Larry był sympatycznym chłopakiem i miała nadzieję, że wygra walkę ze swoim nałogiem.

John siedział na taborecie pośrodku gabinetu lekarskiego, rozebrany do pasa. Abbey włożyła rękawiczki. Starła się widzieć w nim tylko pacjenta, jednego z wielu, nieważne czy przystojnego, czy brzydkiego, ale nie przychodziło jej to łatwo. Miał zdrowe ciało, pięknie opalone. Kiedy się poruszał, widać było grę mięśni pod skórą. Był wyjątkowo przystojny.

Próbowała się przekonać, że nie jest nikim więcej. John nie może być czułym, troskliwym, gorącym kochankiem, jakim go chciała widzieć. Przecież zabił jej męża. Czyżby? Miała w głowie chaos, wirowało w niej od sprzecznych myśli.

Zdjęła delikatnie opatrunek i skrzywiła się. Rana była poważna.

- Jest starannie oczyszczona - powiedziała. - Nie ma śladu infekcji, skóra się goi. A teraz zobaczmy, czy możesz ruszać ręką. Spróbuj odgiąć ją do tyłu.

A kiedy poczujesz ból czy napięcie, powiedz. Jesteś pewien, że to nie boli? - spytała w chwilę później, stwierdzając, że zakres ruchów jest znacznie większy, niż mogłaby przypuszczać. - Nie udawaj macho, bo rozerwiesz skórę.

- Wierz mi, Abbey, nie boli - zapewnił ją.

- Wobec tego założę nowy opatrunek i zobaczymy się jutro. Na razie jestem usatysfakcjonowana twoim stanem.

- Za tydzień chcę nurkować - oświadczył John. - Muszę zobaczyć, jak posuwają się prace. Dasz mi opatrunek wodoszczelny.

- Być może tak będzie. Ale decyzja należy do mnie. Z tym, że nawet jeśli wyrażę zgodę, to tylko na nadzorowanie pracy. Nie wolno ci będzie wziąć do ręki żadnego narzędzia.

- Zgoda. Wiesz... - dodał po chwili - to dziwne. Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy lekarzem i pacjentem. Byliśmy... tak sobie bliscy, a potem dowiedziałaś się, że to ja jestem tym Scottym, którego obwiniasz o śmierć męża.

- Byliśmy sobie bliscy, hm... - Abbey zawahała się. - Można tak to potraktować.

- Położyłaś mi list pod drzwiami - ciągnął John. - Wtedy napisałaś, że jeszcze nie czas na rozmowę. Ale tak sobie myślę, że... może teraz moglibyśmy porozmawiać?

- Teraz? Tutaj?

- To gabinet. Tu jest spokojnie, zacisznie, a poza tym to miejsce bezosobowe, a powinniśmy porozmawiać bez emocji.

Tak, owszem, przyznała w duchu, ale czuła, że nie chce tej rozmowy. Mogłaby ona, a nawet powinna, doprowadzić do ostatecznych wniosków, skonkretyzować jakoś jej dalsze postępowanie. Nie chciała tego, w każdym razie jeszcze nie teraz. Chciała mieć pewność co do własnych uczuć.

- Spędziłem kilka dni w szpitalu - mówił dalej John. - Miałem czas do namysłu. Dawali mi co prawda leki przeciwbólowe, ale nie zawsze były one

skuteczne. Jednak ból barku był niczym w porównaniu z bólem, jaki czułem, myśląc o tobie.

- Dobrze, porozmawiajmy - zgodziła się, widząc, że John mówi szczerze.

- Ale najpierw włóż koszulę, a ja zrobię kawę.

Usiedli naprzeciw siebie, ale nie na tyle blisko, by się dotykać.

- Wyobrażam sobie, jakie uczucia możesz do mnie żywić - zaczął John. - Przecież uważasz, że jestem odpowiedzialny za śmierć twojego męża. Czuję się winny, a teraz nawet jeszcze bardziej, odkąd poznałem i... polubiłem... wdowę po nim. Ty pewnie mnie nienawidzisz i masz do tego prawo. Ale nawet gdybyś nie żyła do mnie nienawiści, nie mógłbym pozwolić sobie na to, żeby skorzystać na śmierci Micka.

- Po pierwsze, nie ma mowy o nienawiści. - Abbey była wyraźnie speszona. - Chodzi o to, że teraz stałeś się... jakby inny. Ujawniłeś coś, o czym nie miałam pojęcia, nieznaną stronę swojej natury. Ale w jaki sposób mógłbyś odnieść korzyść ze śmierci Micka?

- W ten, że skoro on nie żyje, to ty jesteś wolna i możesz się z kimś związać. Niezależnie od tego, jakie moglibyśmy przedtem żywić do siebie uczucia, jest oczywiste, że nic już nas nie będzie łączyć. Nie sposób przecież pokochać zabójcy własnego męża.

- Raczej nie - zgodziła się Abbey. Rozmowa zaczęła przybierać niespodziewany obrót.

- Został nam jeszcze tydzień, może dwa wspólnej pracy. Myślę, że jakoś damy sobie radę. A potem żegnaj - zakończył John.

Żegnaj. To słowo zabrzmiało tak jednoznacznie! Abbey usiłowała zebrać myśli. Jakaś część jej osoby nie chciała żegnać się z Johnem na zawsze, inna zaś zastanawiała się, jak może tak uprzejmie rozmawiać z człowiekiem winnym śmierci Micka.

- A więc każde z nas pójdzie swoją drogą, udając, że nigdy się nie spotkaliśmy? - Popatrzyła na niego pytająco.



- Wiesz, że nie angażuję się w długotrwałe związki. - John wzruszył ramionami. - Nigdy nie powiedziałem żadnej kobiecie, że ją kocham, bo nigdy nie czułem potrzeby, aby kogoś kochać.

- To musi niewątpliwie ułatwiać życie - zauważyła z goryczą.

- Abbey, wtedy w tej twojej samotni... - John najwyraźniej odgadł jej uczucia. - Wiesz... było cudownie. Ale wybacź, jeśli skłoniłem cię do zrobienia czegoś, czego teraz żałujesz.

- Nie skłoniłeś mnie do niczego, sama tego chciałam. To była moja decyzja - oświadczyła.

Właściwie powiedzieli już sobie wszystko. Siedzieli jeszcze przez chwilę, patrząc na siebie. John pierwszy przerwał milczenie.

- Lepiej już pójdę, zobaczę, co robią moi ludzie. - Podniósł się. - Dobrze się czujesz?

- Doskonale.

Po jego wyjściu Abbey starała się uporządkować chaotyczne myśli i sprecyzować własne uczucia. Wciąż jeszcze miała zamęt w głowie i to ją martwiło. Lubiała wiedzieć, na czym stoi. Nie uporała się jeszcze z szokiem, jakim była wiadomość o tym, kim jest John. Na pewno w jakiejś mierze ponosi odpowiedzialność za śmierć Micka. Ale po tym, co właśnie powiedział, i po tym, co myślała, że o nim wie, zaczęła go podziwiać. Choć słowo „podziwiać” może nie jest w stosunku do zabójcy męża najodpowiedniejsze.

Zaczynając nowe życie, w pewnym momencie brała pod uwagę, że John mógłby stać się jego częścią. Ale teraz to już koniec, niezależnie od tego, co zaszło między nimi. Jeśli jednak mają się rozstać na zawsze, powinna to być ich wspólna decyzja. John myślał, że zna jej uczucia. Może się mylił? Czy ona nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia?

Przez następne dni John był całkowicie pochłonięty pracą. Spotkania z Abbey kosztowały go wiele samozaparcia, choć starał się trzymać emocje na wodzy. Ta sytuacja była czymś zupełnie dla niego nowym. Tylko Abbey

bowiem mogła go skłonić do porzucenia dotychczasowych nawyków. Ale przypomniał sobie zasady, w jakich został wychowany. Bądź miły, lecz zachowuj dystans. Licz tylko na siebie. Za duża intymność to kłopoty. Dotychczas przestrzeganie tych zasad wychodziło mu na dobre.

Wkrótce skończy pracę na „Hildzie Esme”. Wyjedzie zapewne w jakąś odległą część świata, znajdzie sobie dziewczynę i zapomni o Abbey. Choć, jeśli ma być uczciwy wobec samego siebie, będzie to najtrudniejsza rzecz w jego życiu.

Abbey zaś była zadowolona, że znów może pracować z Johnem. Ale wciąż wspominała dni, kiedy się do siebie zbliżyli. Wreszcie podjęła decyzję.

On postanowił, że się rozstaną, ale ona nie. Tak łatwo z niego nie zrezygnuje.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Uważam, że możesz już nurkować - powiedziała Abbey po tygodniu, zdejmując opatrunek z barku Johna. - Frank Sellars jutro wyjeżdża. Tylko pamiętaj, żeby się nie sforsować i ostrożnie zakładaj butle, bo mógłbyś urazić świeżo zagojoną ranę.

- Oczywiście. Będę schodzić pod wodę pod koniec dnia, po ostatniej grupie.

- A ja z tobą - dodała Abbey. - Stęskniłam się za nurkowaniem.

- Nie, ty zostaniesz - zaprotestował John.

- Naprawdę dobrze to robię - podkreśliła Abbey. - Przecież już razem nurkowaliśmy, zapomniałeś?

- Skądże. Ale to ja tu rządzę i decyduję, kto schodzi na dół, a kto nie - upierał się John.

- Domyślam się, dlaczego nie chcesz mnie zabrać. Nie chcesz ponosić za mnie odpowiedzialności, bo uważasz, że przyczyniłeś się do śmierci mojego męża. Masz poczucie winy. Niepotrzebnie - uspokoiła go. - John, każdemu

wolno o sobie decydować. A więc będę z tobą, chyba że podasz mi racjonalną przyczynę, dlaczego nie powinnam tego robić.

- Powtarzam, że ja tu jestem szefem. Jeśli mówię nie, to znaczy nie.

- W porządku. Skoro tak, to ja tu jestem lekarzem.

Uważam, że nie powinieneś jeszcze nurkować. Wpiszę to do dziennika pokładowego i dopilnuję, żeby raport dotarł do kapitana.

- Zrobiłabyś to? - spytał z przerażeniem.

- Cóż, niewykluczone - odparła słodko. - Ale to chyba nie będzie konieczne, prawda?

- Dam ci znać, kiedy będę gotowy - odparł po chwili wahania.

Przez resztę dnia Abbey była zajęta w gabinecie. W końcu usłyszała pukanie do drzwi.

- Jeśli chcesz nurkować, to się przebieraj - rozległ się ponury głos Johna.

Z niezwykłą dokładnością sprawdził jej sprzęt. Widziała, że jest przygnębiony. Ale musi przywyknąć do świadomości, że Abbey nie jest tylko żoną jego dawnego druha, lecz kobietą mającą własne zdanie.

Pod wodą od razu opuściło ją całe napięcie, wszystkie troski i problemy nagle wydały jej się błahe. Sprawy jakoś w końcu same się ułożą, pomyślała. Podpłynęła do Johna, tak by móc przez maskę spojrzeć w jego oczy. Podobno są zwierciadłem duszy. Ale nie zobaczyła w nich nic, co by odzwierciedlało jego stan emocjonalny.

Okrążyli wrak, po czym John wpłynął jeszcze na parę minut do środka, by skontrolować ładownię.

- Było świetnie - oświadczyła Abbey, gdy znaleźli się z powrotem na platformie. - A ty jak się czujesz? Bark się odzywa?

- Bark jest w porządku. Dobrze mi było pod wodą - odrzekł z niezwykłym jak na niego spokojem.

- I nie sprawiłam ci kłopotu? - upewniała się.

- Będziemy mogli znowu razem zanurkować?

- Jeśli zechcesz... Ale wciąż nie bardzo wiem, dlaczego tak się upierasz.

- Ja też nie - wyznała szczerze. - Może dlatego, że pod wodą człowiek zapomina o problemach.

- Ale one wciąż czekają na nas na powierzchni.

- Masz rację. Nadal nie wiem, co myślisz... ani co czujesz.

- Często sam tego nie wiem - wyznał John. - Abbey, zamąciłaś mi w głowie bardziej, niż wszyscy moi znajomi razem wzięci. Ale to nie twoja wina.

- Minęły prawie trzy tygodnie od czasu, kiedy dowiedziałam się, kim jesteś - powiedziała, gdy wrócili na statek. - Przyzwyczaiałam się już do myśli, że to ty byłeś wtedy z Mickiem, i chcę o tym porozmawiać. Proszę, żebyś mi opowiedział wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

- Było, minęło. - John spojrzał na nią niepewnie.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- Chcę raz na zawsze zamknąć tę sprawę. Próbowałam zapomnieć o przeszłości i niemal mi się udało. Ale spotkanie z tobą ożywiło wspomnienia i teraz jestem tak samo zła i pełna wątpliwości jak przedtem. John, ja muszę to wiedzieć! Myślę, że i ty chciałbyś zamknąć ten rozdział życia - dodała. - Tak, żeby zostały tylko pozytywne wspomnienia z przeszłości, a nie dręczące wątpliwości, pytania i problemy.

- A więc co proponujesz? - Patrzył na nią wyczekująco.

- Wspólny spacer wieczorem do mojego zakątka.

- Nie wydaje mi się, żeby to było najlepsze miejsce. Byliśmy tam już dwa razy. Za pierwszym zbliżyliśmy się do siebie, za drugim się rozstaliśmy.

- Ale ja chcę pójść właśnie tam. - Abbey obstawała przy swoim.

- A zatem dobrze. Udamy się tam od razu po kolacji.

- Co jest w tym plecaku? Chyba nie kanapki?

- John przerwał milczenie, starając się wprowadzić nieco lżejszy nastrój. Szli wzdłuż klifu, była ósma wieczór. - Tak się składa, że ja wziąłem butelkę wody mineralnej - dodał. - Mam ponieść ten plecak?

- Poradzę sobie - odrzekła Abbey. - Wody nie potrzebujemy, a kanapek w nim nie ma. Tylko papiery. Cała korespondencja dotycząca śmierci Micka.

- Przechowujesz te listy? - John był wyraźnie zaskoczony.

- Nie myślałeś chyba, że je zniszczę?

- Ja nie trzymam listów ani żadnych pamiątek. Wystarczą mi wspomnienia.

- Chciałam tu przyjść, żeby pozbyć się upiórów

- oświadczyła, gdy doszli na miejsce. - Kochałam ten zakątek, ale teraz położył się na nim cień twojego wyznania. Chcę, żeby znowu stał się moim ulubionym celem spacerów.

- Wiesz, że pragnę ci pomóc, Abbey. Ale nie wiem, czy potrafię.

- Potrafisz, jeśli powiesz mi prawdę, całą szczerą prawdę. Nawet gdyby miała sprawić mi ból.

Usiedli obok siebie, ale się nie dotykali. Abbey otworzyła plecak i wyjęła z niego papierową teczkę.

- Oto listy Micka do mnie i kopie moich listów do niego - powiedziała. - A także nasza korespondencja. Reszta to dokumenty prawne, które na razie pominiemy. Przykro mi, że obwiniałam cię o śmierć Micka, ale teraz chcę wiedzieć wszystko. Mów!

- Cóż, domyślasz się, co czuję. Przebywanie pod wodą zawsze wiąże się z zagrożeniem. Wypadki się zdarzają i...

- John! Mów, co się stało!

- Jak wiesz, szukaliśmy wraka statku - zaczął bezbarwnym, monotonnym głosem, jakby zeznawał w sądzie. - Wymagało to dokładnego przeczesania dużego terenu, metr po metrze. Trzeba było działać metodycznie, nie chaotycznie.

- Mick nigdy nie był metodyczny i zorganizowany - zauważyła.

- To prawda - przyznał John. - Najpierw był niezwykle podekscytowany, aż się palił do tej roboty, ale potem zaczęło go to nudzić i musiałem go zmuszać,

żeby trzymał się planu. Penetrowaliśmy wody na stosunkowo niedużej głębokości, ale w pewnym miejscu w dnie był uskok. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jest tam nie tylko głęboko, ale że występują również silne prądy. Nasz wrak, jeśli w ogóle takowy był, mógł stoczyć się w ten rów. Postanowiliśmy jednak zostawić przeszukiwanie rowu na sam koniec.

Tamtego ranka - ciągnął - Mick był wyjątkowo rozdrażniony. Mówił, że sytuacja się zmieniła, że nie ma nic do stracenia, był przygnębiony i markotny.

Powiedział, żeby odstąpić od naszego planu i od razu zabrać się do przeszukiwania rowu. Ja jednak się uparłem: albo działamy zgodnie z planem, albo rezygnujemy. W końcu, po krótkim sporze, uległ. Tak mi się przynajmniej wydawało. Prowadziliśmy dalej poszukiwania. Kiedy zostało nam powietrza na dziesięć minut, Mick zdecydował, że schodzi do rowu. Znowu zaczęła się kłótnia, nawet chciałem go zatrzymać, ale mnie odepchnął. Wiesz, że pod wodą się nie walczy. Potem Mick wskazał na siebie i na rów, na mnie i miejsce, gdzie się znajdowałem i podniósł w górę pięć palców. Było to wystarczająco jasne. Zejdzie do rowu tylko na pięć minut, a ja mam zostać tu, gdzie jestem, i na niego zaczekać.

John na chwilę zamilkł, po czym podjął:

- Czekałem pięć, sześć, siedem minut, w końcu też popłynąłem w stronę rowu. Szukałem Micka, aż wyczerpała się rezerwa powietrza. Wtedy wróciłem na powierzchnię. Wziąłem nową butlę i ponownie zszedłem pod wodę. Nigdzie go nie było, ale w rowie nurt był bardzo rwący. Kiedy po raz drugi wyczerpało mi się powietrze, wróciłem na górę i wezwałem pomoc. Ale zdawałem sobie sprawę, że jest źle. I się nie myliłem.

Abbey czuła, jak mocno bije jej serce. Twarz miała mokrą od łez. John opowiadał tak obrazowo, że odnosiła wrażenie, jakby widziała wszystko na własne oczy.

- Nie napisałeś tego - wyjąkała. - Po prostu stwierdziłeś, że się rozdzieliliście.

- Nie chciałem wydać się tchórzem, obciążając go winą. Przecież nie mógłby się bronić.

- Ale to była jego wina, nie twoja!

- Powinienem być bardziej zdecydowanie mu się przeciwstawić, powstrzymać go za wszelką cenę.

- Jak? Walczyć z nim pod wodą? Dobrze znałam Micka. Jeśli był owładnięty jakąś ideą, nic go nie mogło od niej odwieść. To nie twoja wina, John. Prawdę mówiąc... szukając go, sam narażałeś się na śmierć.

- To był najgorszy moment w moim życiu - przyznał John - gdy wchodziłem na łódź, wiedząc, że go opuściłem.

- Wybaczysz mi to, co o tobie myślałam i co pisałam? - spytała zdławionym głosem. - Uczyniłeś więcej, niż należało, a ja cię oskarżałam.

- Nie ma czego wybaczać. Zapomnij o tym. Czy teraz uznasz już ten rozdział przeszłości za zamknięty?

- Może. Nie ma nic więcej, o czym powinnam wiedzieć? - upewniła się.

- Chyba nie. - W głosie Johna zabrzmiała leciutka nutka wątpliwości.

Abbey podniosła głowę i spojrzała na niego. Wpatrywał się w plik listów. Nagle ją olśniło. Myśl, która przysła jej do głowy, była tak straszna, że poczuła ucisk w gardle. To niemożliwe, to nieprawdopodobne, ale...

Wbiła oszalały wzrok w Johna.

- Posłuchaj, mówiłeś, że tamtego dnia Mick był przygnębiony, powiedział, że nie ma nic do stracenia. Czy był bardziej przygnębiony niż zwykle?

- Zawsze był podłamany, kiedy coś szło nie po jego myśli. - John umykał wzrokiem w bok.

- Czy rano nie otrzymał ode mnie listu? John, odpowiedz!

- Tak.

- Patrz, to kopia mojego ostatniego listu do Micka. - Podała mu kartkę. - Piszę w nim, że chcę rozwodu i nie będę wysyłać więcej pieniędzy. Czy ten list

mógł pchnąć Micka do zrobienia czegoś jeszcze głupszego niż zwykle? Czy to ja ponoszę odpowiedzialność za jego śmierć?

- Nie! - zawołał John, chwytając ją za ramiona i potrząsając nią. - Abbey, to szaleństwo! Cokolwiek się stało, on sam jest temu winien. Był doświadczonym pływakiem, dorosłym człowiekiem. Sam podejmował decyzje, więc musiał ponosić ich konsekwencje. Ty nie masz z tym nic wspólnego!

Lecz oczami wyobraźni Abbey znowu zobaczyła nawiedzający ją obraz martwego Micka tuż pod wodą. Unoszony przez prąd, wyciągał jedną rękę i nią machał. To ona go do tego doprowadziła.

Rozplakała się. Płakała z powodu błędu, jaki popełniła. Płakała z powodu wspomnień o Micku, mężczyźnie, który miał wiele wad, ale był również zdolny do miłości. Płakała, bo niesprawiedliwie oceniła Johna.

John zaś trzymał ją w ramionach i głaskał po głowie. Czowała jego ciepło, mięśnie klatki piersiowej, dające poczucie bezpieczeństwa i ukojenia. Stopniowo odzyskiwała równowagę. John wyjął chusteczkę, zwilżył ją wodą z butelki i delikatnie wytarł jej twarz.

- Dziękuję - szepnęła. - Mogę wypić parę łyków? Podał jej butelkę i ją objął.

- Teraz wszystko jest jasne — powiedziała. - Wiem, co się wydarzyło, wiem, jaką rolę ja w tym odegrałam. Jest mi przykro, ale nie czuję się winna. Trochę jestem na siebie zła za to, jak cię potraktowałam, ale wiem, że mi wybaczysz. I w ten oto sposób wszystko się skończyło, mam przed sobą nowe życie! - Wyjęła z plecaka wszystkie listy i dokumenty i zaczęła je drzeć na drobne kawałeczki.

- Co robisz? - zdziwił się John.

- Rozprawiam się z moją przeszłością i moim żalem - odrzekła. - Nie chcę już więcej mieć tych wizji. Tamten etap mojego życia jest definitywnie



zamknięty. Spalę to wszystko po powrocie do hostelu. - Zamilkła na chwilę. - A jak ty się czujesz? - Spojrzała na niego niepewnie.

- Lepiej. Skoro ty czujesz się lepiej. To tak, jakby zdjęto mi z pleców ogromny ciężar.

- To dobrze. Wiesz, kiedy mi powiedziałaś, kim jesteś, wszystko między nami się popsuło. Ale zanim to się stało, leżeliśmy tu na trawie i dałaś mi rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałam. Teraz możemy wrócić do tamtych dni. Jesteśmy tylko ty i ja. Myślisz, że coś mogło się zmienić? Nie ma pośpiechu. Chcę po prostu wiedzieć, co o tym wszystkim sądzisz.

- Sam nie wiem, co czuję, Abbey. - John potrząsnął głową. - Przez całe życie byłem sam, a potem poznałem ciebie i przez chwilę się zastanawiałem, czy mogłoby być inaczej. Czy mógłbym dzielić wszystko z jedną osobą. Potem sytuacja znów się zmieniła. Pojawił się Mick. Nie winię ciebie ani siebie, ale ten fakt uświadomił mi, że życie nigdy nie jest proste. Zawsze czyhają na nas jakieś pułapki. Wolę nie zobowiązywać się do czegoś, co mogłoby zawieść moje oczekiwania... I nie mógłbym wykorzystać śmierci przyjaciela - dodał.

- Człowiek z żelaza - zauważyła z goryczą Abbey. - Zawsze zachowujący samokontrolę, nieulegający emocjom. John, czy ty w ogóle masz pojęcie, że zaczynałam cię kochać?

- Ty mnie? - Zastanowił się przez parę sekund. - Wiesz, chyba nigdy w życiu nie uczyniłem takiego wyznania.

- To spróbuj. Będzie ci z tym dobrze.

Ta rozmowa prowadzi do punktu, w którym wolałby się nie znaleźć.

- Pogodzisz się z naszym rozstaniem, Abbey. A ja zawsze będę się cieszył, że cię poznałem. Będziesz jednym ze wspomnień, które... - Zerknął na ciemniejący horyzont. - Wracamy? Robi się późno, a mamy za sobą...

- Ciężki wieczór - dokończyła bezbarwnym głosem. - Wracaj. Ja tu jeszcze trochę zostanę.

- Nic ci nie jest? - John był zdezorientowany.

- Nic, od miesiący nie czułam się lepiej. Szczerze, John, nic mi nie jest - powtórzyła. - Można się zakochać więcej niż raz w życiu. Na pewno mi się to uda.

John wracał do miasta szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na piękno wieczornego krajobrazu. Musiał sporo spraw przemyśleć, choć należał do ludzi, którzy na ogół nie żywili wielu wątpliwości.

Z jednej strony czuł się lepiej, bo zrzucił z siebie brzemień tajemnicy śmierci Micka. Musiał się nią z kimś podzielić i poczuł ulgę, że tą osobą była Abbey.

Prawdopodobnie jej też ulżyło. Teraz, gdy poznała wszystkie szczegóły tragedii, mogła spokojnie zamknąć ten rozdział swojej przeszłości.

Zastanowił się nad jej wyznaniem. Miłość... Ludzie zawsze mówią o miłości, czytają o niej, śpiewają. Ale nie on. On nigdy nie odczuwał takiej potrzeby. Spróbował wypowiedzieć te słowa, najpierw do siebie, potem głośno.

- Kocham cię... kocham cię... - Nie było to trudne, choć wydały mu się trochę dziwne, gdy je usłyszał.

Czyżby Abbey, wyznając mu swoje uczucia, spodziewała się od niego tego samego? Że też powie jej, że zaczyna ją kochać? W końcu byli ze sobą tak blisko.

Ale czy on naprawdę ją kocha? Czy chce mieć kłopoty, ból, troski, które może mu przynieść zaangażowanie się w taki związek? Owszem, może mu to dać również szczęście, ale czy teraz nie jest szczęśliwy?

- Kocham cię - powtórzył głośno. Słowa te zabrzmiały pusto.

Cóż, pójdzie do baru i wypije drinka z kolegami.

Następnego ranka powitał Abbey z uśmiechem i spytał, czy spaliła listy, które poprzedniego dnia podarła. Zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

- Wrzuciłam je do kominka i od razu lepiej się poczułam - odparła.

Pogoda była zdecydowanie gorsza niż poprzedniego dnia. Wiał silny wiatr, od czasu do czasu padało.

- Masz ochotę nurkować w taką pogodę? - spytał kapitan.

- W taką pogodę wolę być pod wodą niż na powierzchni. Tam nie ma fal - odparł John lekko rozbawiony. - Ale wchodzenie i wychodzenie z wody może być utrudnione, a nawet niebezpieczne.

- Też tak uważam - przyznał kapitan. - Zapowiadają sztorm. Trzeba będzie wcześniej skończyć pracę i wrócić do portu. Nurkowie pewno będą trochę burczeć, ale już podjąłem decyzję.

- Zgadza się z tobą. - John nie miał wątpliwości, że kapitan ma rację.

Wiatr coraz bardziej się nasilał, więc nurkowie po kolei wynurzali się na powierzchnię. Abbey wróciła do swego gabinetu dopiero, gdy wszyscy już byli na pokładzie. Po chwili rozległ się dzwonek telefonu.

- Mówi Larry - usłyszała. - Kapitan polecił, żebyś nie wychodziła sama na pokład. W razie potrzeby daj nam znać. Ktoś będzie cię ochraniał.

- W porządku, Larry. Gdyby coś się wydarzyło, przyslijcie kogoś po mnie. Nawiasem mówiąc, nigdy nie cierpiałam na chorobę morską - dodała.

- Szczęściara z ciebie. No to na razie.

Obok gabinetu zabiegowego znajdowała się mała kajuta z koją i umywalką. Abbey położyła się i popatrzyła w sufit. Nie miała tutaj ani radia, ani książek, więc mogła tylko rozmyślać. Zeszłej nocy była u kresu wytrzymałości, na skraju hysterii. W jakim stopniu jest odpowiedzialna za śmierć męża?

Myślała o mężczyźnie, którego ponoć kochała. Wyszła za niego po sześciu tygodniach zapierającej dech w piersiach znajomości, urzeczona jego fantazją, luzem, miłosnym szaleństwem. Czy rzeczywiście była w nim zakochana? Był przystojny, dowcipny, czarujący. Przyciągał wzrok. Czasami zastanawiała się, czy jest jej mężem. Po pewnym czasie zmęczyło ją to, tym bardziej że zorientowała się, że uwielbienie kobiet jest mu potrzebne.

Mick nigdy nie był domatorem. Wieczór spędzony w domu w towarzystwie żony był dla niego wieczorem straconym. I nie umiał pogodzić się

z niepowodzeniami, nawet jeśli dotyczyły takich spraw, jak choćby nie zrealizowane kupno mieszkania.

Abbey wiedziała, że na swój sposób ją kochał, ale miała świadomość, że stanowi tylko małą częśćkę jego życia. Więc kiedy zabrał ich pieniądze i wyruszył na poszukiwanie skarbu, ich małżeństwo było już właściwie na granicy rozpadu.

Czy powinna była napisać ten nieszczęsny list? Raz jeszcze przeanalizowała wszystkie okoliczności i doszła do wniosku, że nie ponosi winy za to, co się stało. Robiła, co mogła, by utrzymać to małżeństwo, cierpiała, a w końcu miała dość. W dodatku nie dysponowała już pieniędzmi. Ale gdyby Mick wrócił wtedy do Anglii i obiecał, że postara się zmienić, to by go przyjęła. Zaczęliby wszystko od nowa. Tymczasem on zrobił rzecz idiotyczną i zapłacił za to najwyższą cenę.

Teraz pozostał jej już tylko jeden problem: John. Zależało jej na nim dużo bardziej niż kiedyś na Micku.

Sztorm wzmagał się. Nagle ktoś otworzył drzwi do jej gabinetu.

- Abbey! - Poznała głos Johna. Miał na sobie sztormiak, drugi trzymał w wyciągniętej ręce.

- Jak się czujesz? Nic ci nie jest? - spytał.

- Nigdy nie miałam choroby morskiej, nawet podczas większych sztormów. Więc nie martw się o mnie, dobrze?

- W porządku. Nie wracamy do portu - oznajmił. - Jest zbyt niebezpiecznie. Przekiekamy sztorm na morzu.

- A co na to nurkowie? - spytała.

- Są uszczęśliwieni. Dostaną dodatek za nadgodziny. Mamy gdzie spać i mamy co jeść. Właśnie dlatego tu jestem. Przyłączysz się do nas?

- Chętnie. - Abbey dopiero teraz uprzytomniła sobie, że jest głodna. - Ale nie wolno mi opuszczać kajuty bez eskorty.

- Ja cię będę eskortował. Włóż sztormiak.

- Wezmę tylko tabletki. - Sięgnęła do szafki. - Na wypadek, gdyby komuś zrobiło się niedobrze.

Po kolacji John odprowadził ją do gabinetu.

- Może chcesz, żebym z tobą został? - spytał.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła go. - Parę godzin sam na sam ze sobą dobrze mi zrobi.

- W każdym razie, gdybyś mnie potrzebowała, będę z nurkami.

Wystarczy, że zadzwonisz...

- Nie sądzę, żebym cię potrzebowała, ale dobrze, zadzwonię.

Położyła się na koi i pograżyła w myślach. Nie kocha go. Prawie go pokochała, mogłaby bez trudu się w nim zakochać, ale go nie kocha. Jeszcze nie. To dobrze, bo przecież on powiedział, że nie mógłby jej pokochać. A może tego nie powiedział?

Oczy zaczęły się jej kleić. „Kocham cię”, „kocham cię”, szeptała do siebie. To takie proste, jeśli się kogoś darzy prawdziwym uczuciem.

Ale John jej nie kocha, więc nie mógł wypowiedzieć tych słów.

Wiedziała, że jeśli John Cameron coś postanowi, będzie się tego trzymać. A zatem pozostanie dla niego tylko miłym wspomnieniem.

Cóż, lepsze to niż nic, pomyślała, zasypiając.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

- Pani doktor! - rozległ się głos kapitana. Abbey zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co mogło skłonić Farrowa do przyjścia po nią, skoro mógł wezwać ją na mostek.

- Już idę! - zawołała.

Gdy otworzyła drzwi do gabinetu, zobaczyła w nim kapitana i Johna. Mieli na sobie sztormiaki.

- Co się stało? - spytała.

- Nie wiem, czy zdoła nam pani pomóc - odezwał się kapitan - ale myślę, że powinna pani wiedzieć, co się stało. W odległości dwudziestu kilometrów stąd znajduje się platforma wiertnicza - zaczął.

- Tak, widziałam ją. O co chodzi?

- Otrzymał się od nich wiadomość drogą radiową. Zdarzył się wypadek, trzech mężczyzn są ranni. Warunki pogodowe nie pozwalają na lądowanie helikoptera. Rozpaczliwie potrzebują lekarza, a pani jest najbliżej.

- Nie mają ratownika? - zdziwił się John.

- Ach, ratownik. - Kapitan machnął ręką. - Masz na myśli tego ze skomplikowanym złamaniem nogi? On jest jednym z trzech rannych. Są tam tylko ludzie po kursie udzielania pierwszej pomocy, a to za mało.

- Posłuchaj. - John popatrzył na kapitana wyraźnie niezadowolony. - Wiem, co masz na myśli, ale to niemożliwe. Nie ma mowy, żeby doktor Fraser udała się na platformę. To zbyt niebezpieczne, o ile nie niemożliwe. Ja tam popłynę. Mogę zrobić to samo, co ona by zrobiła.

- Na pewno nie - obruszyła się Abbey. - Co prawda potrafisz dużo, ale nie wszystko.

- Jestem ratownikiem morskim, więc...

- A ja jestem lekarzem z oddziału ratunkowego - przerwała mu. - I sama zdecyduję, czy się tam udam, czy nie.

- Chwileczkę - włączył się kapitan. - Nie zapominajcie, że to ja tu decyduję, zrozumiano?

- Tak, panie kapitanie - odrzekli Abbey i John jak na komendę.

- Porozumiem się z platformą i powiem, że ruszamy w ich kierunku. Na miejscu zorientuję się w sytuacji i jeśli uznam, że warunki na to pozwolą, doktor Fraser zdecyduje, czy podejmie się tego zadania. Nie będę wywierał żadnej presji, choć będę jej to odradzał.

- Jeśli ona pójdzie, to ja też... - John był wyraźnie wzburzony. - Myślę, że byłoby nieźle, gdybym towarzyszył doktor Fraser, kapitanie - dodał po chwili już znacznie spokojniejszym tonem.

- Zastanowię się nad tym - odrzekł kapitan. - Ale to znaczyłoby, że zostaniemy tu bez opieki medycznej. Cóż, ostatecznie nic nie powinno się zdarzyć.

- Wolałabym najpierw skontaktować się z kimś z platformy - oznajmiła Abbey. - Dowiedzieć się, jaka jest sytuacja, jakie wziąć narzędzia i opatrunki.

- Nie musisz niczego brać. - John wydawał się zorientowany. - To znaczy, o ile w ogóle się tam udamy. Na platformach wiertniczych mają cały sprzęt medyczny. Są wyposażeni lepiej niż niejeden szpital.

- Brak im tylko lekarzy - zauważyła cierpko Abbey.

- Powinniśmy być przy platformie za mniej więcej godzinę. - Kapitan ponownie zabrał głos. - Dopiero wtedy podejmie pani decyzję. Ale uprzedzam, to będzie niebezpieczna akcja.

- Panie kapitanie, wkrótce pański syn zostanie lekarzem. Czy jego by pan puścił? - Abbey zwróciła na Farrowa pytający wzrok. - I proszę mi nie mówić, że to co innego, bo on jest mężczyzną.

- Tak, puściłbym go - przyznał kapitan. - Powiem radiotelegrafście, żeby połączył panią z platformą. Panie Cameron, proszę ze mną-zwrócił się do Johna.

Abbey na wszelki wypadek wzięła paczkę z ubraniami, którą nazywała swoim zestawem awaryjnym. Podejrzewała, że może się jej przydać. Pięć minut później zadzwonił telefon.

- Łączę z oficerem dyżurnym platformy wiertniczej, panem Garym Flynnem - obwieścił radiotelegrafista.

- Halo? Mówi doktor Fraser - odezwała się Abbey.

Odpowiedziała jej cisza.

- Pani jest kobietą - usłyszała w końcu zdziwiony głos.

- Tak. A skoro już to ustaliliśmy, zechce mi pan powiedzieć, kto jest ranny i jak ciężko?

- Tak, owszem, oczywiście - jękał się oficer. - Trzej ludzie zostali ranni. Położyliśmy ich w naszej izbie chorych, ale nie wiemy, co robić dalej.

- Proszę mi opisać ich obrażenia - rzekła Abbey. Wysłuchawszy relacji, zrozumiała, że musi udać się na platformę. Dała oficerowi parę ogólnych wskazówek i poleciła, by trzymali rannych w cieple.

- Proszę na mnie czekać - dodała, kończąc rozmowę. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Liczymy na panią - odparł Gary.

Pół godziny później w jej kajucie pojawił się Larry.

- Przysłał mnie kapitan, pani doktor - powiedział.

- Prosi panią na mostek. Będę panią ochraniał.

Abbey zwróciła uwagę, że w sytuacji dramatycznej wszyscy zaczynają zachowywać się wobec siebie bardzo oficjalnie. Wyczuwała w tym wpływ osobowości kapitana.

Sztorm przybierał na sile. Musiała mocno uchwycić się relingu, gdy wchodziła po schodkach na mostek.

- Zanim pan cokolwiek powie, kapitanie - zaczęła - chcę, żeby pan wiedział, że tam na pokładzie jest młody mężczyzna, który w każdej chwili może umrzeć. Jeśli pan pozwoli, chciałabym się do niego dostać.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie zaskoczyło

- mruknął kapitan. - Porozumiałem się z platformą - dodał. - Spuścimy nasz ponton i z niego wciągną was na pokład w czymś, co nazywają klatką. Powinniście sobie poradzić.

- Brzmi nieźle - przyznała Abbey, choć wcale nie była tego pewna. - To znaczy, że pan Cameron też pójdzie?

- Tak, w ten sposób będzie pani bezpieczniejsza. Choć... to i tak ryzykowne.



- Cóż, zaczynajmy - zdecydowała Abbey.

Stała na mostku i obserwowała, jak kapitan manewruje statkiem, podprowadzając go na zawietrzną platformy. John zszedł z mostka, po pięciu minutach wrócił.

- Ponton czeka - zakomunikował. - Ale mocno się kołysze.

- A więc do dzieła - rzekł kapitan. - Wie pani, że przemoknie do nitki? - zwrócił się do Abbey.

- Mam zmianę odzieży i szczoteczkę do zębów. - Abbey wskazała mu swój zestaw awaryjny.

Opuściła mostek i trzymając Johna za rękę, przeszła wzdłuż pokładu do miejsca, gdzie znajdował się ponton. Nagle poczuła, że ktoś zdejmuje z niej sztormiak i umocowuje w pasie linę ratunkową, a następnie zakłada kamizelkę.

- Schodzimy - powiedział John, gdy była już gotowa. - Ja pierwszy.

Cała załoga i nurkowie stali na pokładzie, obserwując ich z uwagą.

Abbey schodziła po drabince, trzymając się jej z całej siły. Gdy nagle fala uderzyła w burtę statku, drabinka szarpnęła gwałtownie i Abbey spadła na plecy na ponton. John błyskawicznie znalazł się przy niej.

- Nic ci się nie stało? - Podłożył jej ramię pod głowę.

- Jestem zła, ale nic mi nie jest - odparła.

- Nie powinnaś tu być!

Abbey odwróciła się i z trudem uklękła.

- Ani ty - warknęła. - Twoja rana jeszcze się nie wygoiła. Dlaczego tak się o mnie martwisz?

- Bo już raz byłem zamieszany w... wypadek z twoją rodziną. I nie chcę, żeby to się powtórzyło.

- Nie bądź śmieszny, John. Jestem dorosła i sama o sobie decyduję. A teraz mi pomóż. Zdrową ręką!

- O, już spuszcza ją klatkę - zauważył John, pomagając jej się podnieść. - Ty wskoczysz pierwsza, ja będę za tobą, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Jeśli nie będziesz pewna, że uda ci się wskoczyć, zaczekaj. Spuszczą jeszcze raz.

Abbey spojrzała w górę. Klatka zawisała tuż nad nią - była to konstrukcja ze stalowych rur, z podwójnymi drzwiami, które teraz były otwarte. W środku klęczeli przy nich dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach.

Mężczyzna przy wciągarni starał się ją ustawić bardzo precyzyjnie, ale nie było to łatwe przy tak silnym wietrze. W końcu niemal mu się udało. Klatka plusnęła w wodę, w odległości trzydziestu centymetrów od gumowego pontonu. Obaj mężczyźni znaleźli się po pas w wodzie.

- Skacz! - zawołał John i lekko Abbey popchnął. Nie było to tak trudne, jak sądziła. Wylądowała co prawda jak długa na podłodze klatki, ale mężczyźni natychmiast ją podnieśli i umieścili w rogu, nakładając na nią coś w rodzaju szelek i przykazując, żeby się nie ruszała. Teraz nadeszła kolej Johna. Wyczekał na odpowiedni moment i wskoczył do środka. Klatka zaczęła się szybko unosić w górę. Abbey patrzyła z góry na „Hildę Esme” i obserwujących ich nurków.

- Świetnie wam poszło - stwierdził jeden z mężczyzn czekających na nich na platformie wiertniczej, gdy klatka szczęśliwie wylądowała na pokładzie.

- Nie było to aż tak trudne, jak się obawiałem.

- Dla mnie było wystarczająco trudne - odrzekła Abbey.

- Witam, pani doktor. - Z najbliższych drzwi wybiegł inny mężczyzna, wyciągając do niej rękę.

- Dobrze, że pani już jest. Jestem Gary Flynn, oficer dyżurny. Niedawno z panią rozmawiałem.

- A to John Cameron. - Abbey przedstawiła swego towarzysza. - Będzie mi asystował.

- W porządku. Wejdźcie do środka. Musicie się wysuszyć i ogrzać. Chcielibyście może coś zjeść albo wypić?

- Tylko się przebiorę w coś suchego i ruszam do rannych - oznajmiła Abbey.

- Oczywiście, zaczekam przed izbą chorych. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę zawołać. Cieszymy się, że jest pani z nami.

- Miejmy nadzieję, że się przydam - uśmiechnęła się Abbey. - Ale na początek chcę wiedzieć, co się wydarzyło.

- Chodzi o trzech naszych ludzi. Dwaj pracowali na górnym pomoście, a trzeci akurat tamtędy przechodził.

Z jakichś, na razie niewyjaśnionych powodów, pomost zarwał się i wszyscy trzej spadli na żelazną konstrukcję pod nimi. Dwaj są przytomni, ale trzeci ma obrażenia głowy. Opatrzyliśmy go, jak najlepiej potrafiliśmy, ale przytomności nie odzyskał.

- Nie podoba mi się to - skrzywiła się Abbey. Szli korytarzem, kończącym się niewielkim pomieszczeniem.

- To nasza izba chorych - poinformował Gary.

- Jest bardzo dobrze wyposażona, ale na ogół, gdy zdarzy się jakiś wypadek, wzywamy helikopter. Co nie znaczy, że wypadki często się zdarzają - dodał.

- Mamy tylko jedną szatnię. - Popatrzył na nich niepewnie. - Są tam kitle i fartuchy, wszystko, co trzeba, i wszystko sterylne. Ale jest was dwoje...

- Wezmę prysznic i przebiorę się pierwsza. - Abbey wpadła mu w słowo. - Potem pan Cameron zrobi to samo. - Uśmiechnęła się słodko do Johna.

Wzięła gorący prysznic, włożyła suchą bieliznę ze swego pakietu awaryjnego i zielony kitel.

- Teraz twoja kolej - rzuciła w stronę Johna, gdy wyszła na korytarz. - Gdzie są ranni? - zwróciła się do Gary'ego.

Izba chorych zrobiła na niej duże wrażenie. W porównaniu z gabinetem na „Hildzie Esme”, też dobrze wyposażonym, tutaj lekarz miał zapewnione prawdziwie komfortowe warunki pracy. Tyle że nie było lekarza. W izbie chorych stały cztery łóżka, trzy były zajęte.

- Czy zanotował pan, jakie leki otrzymali ranni i o której godzinie? -

Abbey spojrzała na oficera.

- Nie, ale dokładnie pamiętam, co zrobiliśmy - odparł Gary. - Eric - wskazał mężczyznę na pierwszym łóżku - miał liczne obrażenia i zadrapania, ale nie wydawały się poważne. Oczyszcziliśmy rany i założyliśmy opatrunki. Ale najgorsze jest to, że skarżył się na ból barku i ramienia. Może ma złamanie, nie wiem. Dałem mu zastrzyk przeciwbólowy. Peter Nellist, nasz ratownik, powiedział mi, co i jak podać. Był jeszcze przytomny, poprosił, żebym mu podał morfinę, i zaraz potem odpłynął.

- Dobrze się spisałeś, Gary - stwierdziła Abbey.

- Niech pani popatrzy, jak krwawi. Ma nogę rozciętą do kości, chyba złamanie otwarte... - Gary patrzył z przerażeniem na rannego ratownika.

- Nie założył pan opaski uciskowej, żeby powstrzymać krwawienie?

- Nie, tylko ciasny opatrunek.

- Hm, a ostatni ranny?

- To Perry. Spadając, uderzył głową w słup. Ma rozległą ranę, założyliśmy opatrunek, ale boję się, czy nie nastąpiło pęknięcie czaszki. Myśli pani, że mógł uszkodzić sobie mózg?

- Nie wiem - odparła Abbey.

- W czym mogę pomóc, pani doktor?

Abbey odwróciła się. Stał za nią John, przebrany już w zielony kitel.

- Przygotuj wszystkie instrumenty do wstępnego badania, stetoskop, ciśnieniomierz i tak dalej. I zestaw dla Petera. - Wskazała mężczyznę ze złamaną nogą. - Potrzebuje środka osoczozastępczego, i to pilnie. I podaj mu tlen.

Wiedziała, że nie musi Johnowi niczego szczegółowo objaśniać. Miała do niego pełne zaufanie.

- Gary, pan może już poczekać na zewnątrz - zwróciła się do oficera, który z ulgą opuścił izbę chorych.

Po jego wyjściu niezwłocznie przystąpiła do badania rannych. Na szczęście żaden z mężczyzn nie był umierający. W najgorszym stanie był ranny w głowę Perry. Nie reagował na światło latarki, które skierowała mu na oczy.

John tymczasem podawał tlen rannemu ratownikowi, Abbey podłączyła mu kroplówkę.

- Ktoś nie pożałował im środków przeciwbólowych - zauważył John. - Ci dwaj są nieźle zamroczeni.

- To prawda. A więc wykorzystajmy sytuację - powiedziała.

Uciskała przez pięć sekund paznokieć dużego palca stopy Petera. Pobielał, a przez następne pięć sekund kolor nie wrócił. Kłopoty z krążeniem w naczyniach włosowatych, stwierdziła. Jeśli nie usunie przeszkody - utrudniającej przepływ krwi, Peter może stracić stopę, a w najgorszym wypadku nawet całą kończynę.

- Musimy nastawić i unieruchomić nogę - zwróciła się do Johna. - Myślisz, że mają tu szyny?

- Na pewno. Przecież na platformach wiertniczych złamania są na porządku dziennym. O, jest. - John otworzył szafę ze sprzętem.

Ostrożnie umocowali szynę pod nogą Petera.

- To jedyne, co mogliśmy w tej chwili zrobić - stwierdziła Abbey. - A jak krążenie?

- W porządku. - John ucisnął palec Petera. - Wraca do normy.

Podeszli do następnego mężczyzny, Erica, i przyglądali mu się przez chwilę. Ból ramienia i barku?

- Gary, w jaki sposób Eric się zranił? - Abbey wyjrzała na korytarz.

- Upadł do tyłu, chyba starając się chwycić za reling, kiedy padał. Ale mu się nie udało.

- Dzięki. - Abbey zamknęła drzwi i popatrzyła na Johna. - Zwicnięcie barku?

- Na to wygląda. - Skinął głową. - Już raz nastawiałem.

To wymaga siły. Należałoby wykonać zdjęcie rentgenowskie, ale nie było takiej możliwości. Abbey obmacała ramię i bark ledwo teraz przytomnego Erica. Nie wyczuła złamania.

- Zwichnięcie. Bierz się do roboty. - Skinęła na Johna. - Ile razy już to robiłeś?

- Kilka.

- W porządku. Jesteś silniejszy ode mnie. Posadzili Erica. Abbey trzymała go od tyłu, John wymacał miejsce zwichnięcia i mocno pociągnął rękę mężczyzny.

- Boli! -jęknął Eric.

- Będzie bardziej bolało, jeśli tego nie zrobimy - odparł spokojnie John. - Położę teraz okład z lodu, żeby zmniejszyć obrzęk, a ty spróbuj się przespać.

Na razie wszystko idzie dobrze. Eric będzie wymagał rehabilitacji, Peter zabiegu chirurgicznego, ale na szczęście w ich przypadku nie było już żadnego zagrożenia.

Abbey zwróciła uwagę, że bardzo dobrze pracuje jej się z Johnem. Stanowią zgrany zespół. Kiedy potrzebowała jakiegoś instrumentu, wystarczyło, że wyciągnęła rękę, a John już go podawał -jakby czytał w jej myślach. Czy potrafiłby odczytać wszystkie jej myśli? Nie tylko te, które dotyczą pracy? Przypuszczalnie tak. A więc co zrobi, kiedy je pozna?

Dość, napomniała samą siebie. Masz obowiązki, nie czas teraz na takie dociekania. Pora zająć się Perrym.

Obawiała się, że to przypadek przekraczający jej kompetencje. Ostrożnie zdjęła opatrunek i obmacała ranę na głowie. Nie miała wątpliwości: złamanie z wgnieceniem kości czaszki, niemal na pewno krwotok wewnątrzczaszkowy.

- Tu potrzeba specjalisty - zwróciła się do Johna.

- Nie poradzę sobie z tym.

- Powiedz, żeby Gary połączył cię z neurochirurgiem - poradził John. - On ci powie, jak postąpić.

- Dobry pomysł - przyznała zdziwiona, że sama na to nie wpadła.

Widocznie jest już zmęczona.

- Już łączę. - Gary był zadowolony, że może pomóc. - Mamy umowę ze szpitalem. Ale, ale... - uśmiechnął się. - Mam lepszy pomysł niż połączenie drogą radiową. Mamy na platformie wszelkich możliwych ekspertów od elektroniki. Zainstalujemy kamerę telewizyjną, żeby chirurg widział to co pani, równocześnie z panią rozmawiając.

- Naprawdę jest to możliwe? - Abbey popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Zaraz się przekonacie.

Pół godziny później znalazła się w najmniejszej sali operacyjnej, jaką w życiu widziała. Miała na sobie strój chirurgiczny, rękawice i maseczkę, John również, podobnie jak Leonard, elektronik, który siedział przy kamerze telewizyjnej. Jego obecność była konieczna, ponieważ chirurg wymagał kamery ruchomej, która mogłaby pokazywać mu pewne szczegóły w zbliżeniu. Leonard nie wyglądał na uszczęśliwionego faktem, że będzie asystował przy operacji.

Neurochirurg, doktor Connolly, uznał, że Perry wymaga natychmiastowej operacji. W przeciwnym razie czeka go śmierć.

- Abbey, ty ją przeprowadzisz - powiedział. - Będę ci mówił, co masz robić.

- Ale ja nigdy nie operowałam głowy - rzekła przerażona.

- A więc najwyższy czas się nauczyć - oświadczył Connolly. - John, wystąpisz w roli anestezjologa.

- Z przyjemnością.

- Sugerowałbym bardzo małą dawkę środka znieczulającego, wtedy nie powinno być problemów. Abbey, masz wszystkie instrumenty w zasięgu ręki? Tak? Zaczynamy.

Abbey wzięła do ręki skalpel. John już wcześniej ogolił głowę Perry'ego.

- Pierwsze cięcie jest zawsze najtrudniejsze - zauważył doktor Connolly. - Wykonaj je szybko.

Abbey uczestniczyła już kiedyś w podobnej operacji, ale to działo się w dużej sali operacyjnej, a chirurdzy mieli w zasięgu wzroku zdjęcia rentgenowskie i obraz z tomografu komputerowego. Było dwóch chirurgów, anestezjolog i instrumentariuszka.

- Najpierw odsłonimy czaszkę - mówił Connolly. - Później zaczniemy wiercić. Odcinamy kawałek skalpu, następnie obniżamy ciśnienie wewnątrzczaszko-we i w razie potrzeby przyżegamy. Potem odwracamy kolejność.

- Bułka z masłem - mruknęła Abbey.

Były momenty, kiedy wydawało jej się, że nie podoła, ale doktor Connolly okazał się doskonałym nauczycielem. Jego polecenia były zrozumiałe i precyzyjne. Jeśli popełniła błąd, cierpliwie tłumaczył, jak go naprawić.

I był przy niej John, który dodawał jej odwagi. Miał na twarzy maseczkę, ale poznawała po jego oczach, że się do niej uśmiecha.

Wreszcie operacja dobiegła końca.

- Wykonałaś świetną robotę - ocenił doktor Connolly. - Muszę ci teraz wyznać, że wcale nie byłem pewien, czy sobie poradzisz. Ale trzeba było spróbować. I udało się. Dobrze się z tobą pracowało, musimy to powtórzyć.

- Nie, nie musimy - zaprotestowała Abbey. -Gdyby kiedyś doszło do tego, to chcę, żebyś stał koło mnie. We własnej osobie.

- Masz dobrą rękę, Abbey. Gdybyś chciała specjalizować się w chirurgii, skontaktuj się ze mną.

Dopiero teraz Abbey poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

- Należy nam się trochę odpoczynku - stwierdziła. Muszą nam dać jakieś koje. Tylko że trzeba obserwować Harry'ego i Perry'ego. Zostań na pierwsze dwie godziny, potem ja cię...



Zmęczenie wzięło górę. Abbey potknęła się, a padając wyciągnęła tylko rękę, by się podeprzeć. Uderzyła głową o stalową gródź i straciła przytomność.

Nadal była wycieńczona, a do tego bolała ją głowa. Wyczuła, że ktoś na nią patrzy. Otworzyła oczy i zobaczyła zaniepokojoną twarz Johna. W rękę trzymał małą latarkę.

- Co ty robisz? - zdziwiła się.

- Sprawdzam, czy nie doznałaś wstrząśnienia mózgu - odparł. - Ale myślę, że nie. Przeraziłaś mnie, kiedy upadłaś. Będzie cię bolała głowa i możesz mieć obrzęk. Ale nie sądzę, żeby to było coś poważnego - mówił niczym lekarz.

- Jak się czujesz?

Chciało jej się spać. Nie bardzo wiedziała, o co Johnowi chodzi, co ma mu odpowiedzieć. Jedyne, na co miała ochotę, to spać. I bardzo bolała ją głowa. Och, nie tylko głowa. Niemal zapomniała o tym drugim bólu.

- Moja ręka! - jęknęła.

Poczuła, że obmacują ją czyjeś palce.

- Boli - powtórzyła. - Gdzie ja jestem?

- Boli cię ręka, bo chyba ją złamałaś - wyjaśnił John. - I to paskudnie. A leżysz na koi w izbie chorych. Mam teraz czworo pacjentów.

- Nie jestem pacjentem - obruszyła się Abbey. - Jestem lekarzem.

John podłożył jej rękę pod głowę i lekko ją uniósł.

- Wypij to - polecił i z powrotem ułożył ją na poduszce. - To lek przeciwbólowy. I nasenny - wyjaśnił. - Teraz możesz spać.

Działo się z nią coś miłego. Nie potrafiła tego nazwać, ale uczucie było przyjemne. Co to może być? Na wpół przebudzona uświadomiła sobie, że ktoś ją głaszcze. Ktoś gładził jej włosy, pieścił dłonią policzki, delikatnie wodził palcem wokół kącików ust. Kto?

Nagle całkowicie się obudziła i wróciła do twardej rzeczywistości. Bolała ją głowa i ręka, a na łózkach obok leżało trzech mężczyzn, którzy byli jej pacjentami. Otworzyła oczy i zobaczyła obok siebie Johna. **Sip A43**

- Która godzina? - spytała.

- Wpół do ósmej rano. Po wczorajszym sztormie zapowiada się ładny dzień.

Wpół do ósmej? Minęła już cała noc?

- Co z moimi pacjentami? - zapytała.

- W porządku - uspokoił ją. - Pogoda się poprawia, więc helikopter jest już w drodze, z lekarzem i pielęgniarką na pokładzie. Zabiorą was wszystkich do szpitala w Aberdeen.

- Nie pojedę do Aberdeen! - zaprotestowała.

- Pojedziesz, pojedziesz. Po pierwsze, chcę mieć pewność, że z twoją głową wszystko w porządku. Po drugie, jakoś usztywniłem twoją rękę, ale jestem przekonany, że to skomplikowane złamanie. Potrzebny ci ortopeda.

- Polecisz ze mną? - zapytała.

- Nie. Wracam na nasz statek, musimy dalej pracować.

- Szkoda, że cię ze mną nie będzie...

Myśli kłębiły się jej w głowie. Martwiła się o rannych, choć wiedziała, że niepotrzebnie. Martwiła się o Johna, że go przy niej nie będzie. Martwiła się złamaną ręką, która uniemożliwiała jej pracę.

John pochylił się ku niej i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

- Nie martw się - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - O nic. Słyszysz to? Zbliża się helikopter. Zabiera cię z powrotem na stały ląd.

- Ale John, ja...- Czuła, że ma mu powiedzieć coś niezwykle ważnego, ale nie wiedziała co, więc zamknęła oczy.

Hałas wzrastał się, a po chwili ucichł. John otworzył drzwi izby chorych i Abbey zobaczyła parę osób.

- Jestem lekarką, nie pacjentką - powiedziała, gdy ktoś zaczął mierzyć jej puls.

- W tej chwili jest pani jednym i drugim - odparł uprzejmy głos. - Jestem doktor Masters, a to siostra Tanner. Zabierzemy panią do Aberdeen. A teraz chciałbym zerknąć na pani głowę.

Okazało się, że niezwykle łatwo jest być pacjentem. Trzeba tylko leżeć, niczym się nie martwić i pozwolić, by inni się człowiekiem zajmowali. Abbey słyszała, że John rozmawia szeptem z doktorem Mastersem i domyśliła się, że mówią na jej temat. Było jej to najzupełniej obojętne.

Ułożono ją ostrożnie na noszach, wyniesiono z izby chorych i po chwili znajdowała się już na pokładzie helikoptera. Prawie całą podróż przespała. Obudziła się dopiero, gdy wylądowali na terenie szpitala.

- Oni wciąż są moimi pacjentami - zwróciła się do doktora Mastersa, wskazując rannych mężczyzn. - Wiem, że teraz ktoś inny się nimi zaopiekuje, ale chciałabym wiedzieć, jaki jest ich stan.

- Dwaj czują się całkiem dobrze - poinformował ją lekarz. - Co do trzeciego, rannego w głowę, jego stan jest poważny, ale nie zagraża życiu.

- To dobrze.

John obserwował wznoszący się i znikający w dali helikopter. Miał wrażenie, że ten odlot symbolizuje dla niego jakiś koniec. Czuł się zmęczony i samotny.

Przeżył chwilę grozy, gdy Abbey potknęła się i upadła. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo była zmęczona. Podczas operacji Perry'ego podskoczyła jej adrenalina, więc zdołała jakoś się uporać z tym trudnym zadaniem. Był już wcześniej świadkiem podobnych sytuacji. Ludzie potrafili wyzwolić z siebie niesamowite zasoby energii i siły, gdy wymagały tego okoliczności. Ale później ciężko za to płacili.

W chwili, gdy Abbey uderzyła się o metalową gródź, zamarł z przerażenia. Pomyślał, że nie żyje. Chciał jej później powiedzieć o tym, co czuł, co przeżywał. Ale kiedy mieli dla siebie pięć minut i Abbey się obudziła... po prostu nie był w stanie wykrztusić słowa.

A teraz już jest daleko. Miał niejasne przeświadczenie, że odeszła z jego życia na zawsze.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- To tylko złamanie kości ramiennej! Złamana ręka! - Abbey patrzyła na ortopedę szeroko otwartymi oczami. - Kiedy pracowałam na ratunkowym, mieliśmy tego dziesiątki. Opatrunek unieruchamiający, środek przeciwbólowy i do domu. Nie potrzebuję żadnej operacji.

- Ale to jest złamanie otwarte. - Pomachał w jej stronę zdjęciami rentgenowskimi. - Dziś po południu chcę panią mieć na sali operacyjnej, założymy gwoździe. Parę dni zostanie pani w szpitalu, a potem trzeba będzie się oszczędzać. Nie ma mowy o powrocie na statek.

- Ale ja jestem lekarzem pokładowym - przekonywała Abbey.

- Co to za lekarz władający tylko jedną ręką? Ten argument był nie do odparcia.

- Niech będzie, jak pan mówi - zgodziła się niechętnie.

- A więc proszę podpisać zgodę na operację.

Abbey nigdy nie przebywała tak długo w szpitalu. W każdym razie jako pacjentka. Było to dla niej nowe i interesujące doświadczenie. Miała okazję obserwować życie szpitalne z perspektywy chorego, a nie lekarza. Nagle ważne stawały się drobne sprawy, jak choćby codzienny obchód albo poranna herbata.

- Proszę pamiętać, teraz jest pani tylko i wyłącznie pacjentem. Jeśli coś nie będzie się pani podobać, proszę powiedzieć pielęgniarce. Niech pani nie stara się diagnozować innych. I jeszcze jedna przestroga - proszę nie mówić chorym, że jest pani lekarką. W przeciwnym razie będzie pani musiała wysłuchiwać niekończących się żalów i skarg, na które i tak nic pani nie poradzi.

- Będę o tym pamiętać - obiecała Abbey. Drugiego dnia pobytu w szpitalu zadzwoniła do brata na Florydzie. Chciał natychmiast przylecieć, ale wybiła mu

to z głowy. Zobligował ją tylko, by od razu po wyjściu ze szpitala przyjechała do nich na rekonwalescencję. Przyrzekła, że to zrobi.

Trzeciego dnia miała gościa. Odwiedził ją kapitan Caleb Farrow. Przyniósł dwa bukiety kwiatów - jeden od towarzystwa żeglugowego, drugi od pletwonurków i załogi.

- Brakuje nam pani - oznajmił. - Radzimy sobie,, ale statek już nie jest taki sam, kiedy pani nie ma na pokładzie.

- Mnie też was brakuje. Ale muszę panu od razu powiedzieć, że przez trzy, cztery tygodnie muszę leczyć tę rękę. A do tego czasu skończycie pracę przy wraku.

- Zgadza się. - Kapitan skinął głową. - Przypuszczałem, że tak się stanie, więc teraz mam trochę ułatwione zadanie. Muszę panią poinformować, że nasz zleceniodawca postanowił panią od razu zwolnić . Oczywiście otrzyma pani pełne wynagrodzenie za kontrakt, ponadto dodatek za pomoc udzieloną rannym na platformie. Dostanie pani pismo w tej sprawie, z propozycją ewentualnego zatrudnienia w przyszłości. Abbey milczała chwilę. Od początku miała świadomość, że to tylko okresowe zajęcie, ale teraz ogarnął ją smutek.

- A więc już nigdy nie będę na „Hildzie Esme”?

- Jeśli kiedykolwiek znajdzie się pani w pobliżu, będzie pani zawsze mile widziana - odrzekł kapitan.

- Pamiętam, jak dzielnie wskakiwała pani do tej klatki. Wymagało to nie lada odwagi.

- Robiłam to, co do mnie należało - stwierdziła. - Dobrze mi się z panem pracowało, kapitanie.

Po wyjściu kapitana poczuła się nagle samotna, co ostatnio jej się nie zdarzało. I przyszła jej do głowy myśl, której dotychczas skutecznie unikała. Co się dzieje z Johnem?

Nie odwiedził jej, a przecież mógł znaleźć wieczorem chwilę czasu, nie napisał do niej, nawet nie przekazał jej żadnej wiadomości przez kapitana.

Wyglądało na to, że wszystko, co się między nimi wydarzyło, miało pójść w niepamięć.

Abbey przypomniwała sobie te ostatnie kilka godzin, które razem spędzili, kiedy udzielali pomocy dwóm rannym mężczyznom, i operowali trzeciego, ratując mu życie.

Wtedy o tym nie myślała, ale teraz, cofając się pamięcią wstecz, stwierdziła, że stanowili zgrany zespół. John doskonale ją wyczuwał, uprzedzał jej polecenia, a ona miała pewność, że cokolwiek robi, on jest przy niej po to, by ją wspierać.

A rano, gdy odzyskała świadomość, poczuła na twarzy delikatny dotyk jego palców. Wydawało jej się, że w tym dotyku kryje się miłość.

Teraz musiała przyznać się sama przed sobą, że kocha Johna. Kiedyś powiedziała mu, że go prawie kocha i rzeczywiście tak wtedy czuła. Ale wszystko się zmieniło. Teraz była już pewna, że go kocha i wątpiła, by kiedykolwiek mogła spotkać mężczyznę takiego jak on.

Szkoda, że on nie mógł czy nie chciał jej pokochać. A więc co ma zrobić?

Przypuszczalnie John nie żywił do niej prawdziwego uczucia. Ale czy naprawdę? Przecież zaistniało między nimi coś, co oboje wyczuli. Potem omal nie rozstali się definitywnie, gdy John ujawnił prawdę na temat Micka. Ale udało im się zamknąć ten rozdział. I choć utrzymywali pewien dystans, znowu zaczęli się do siebie zbliżać.

Abbey wiedziała jedno. Ona okazała mu swoje uczucia, teraz kolej na niego.

- Powiedz, że mnie kochasz - szepnęła do siebie.

Następnego ranka zadzwoniła do hostelu, w którym była zakwaterowana w czasie pracy na „Hildzie”. Kierownik ucieszył się, słysząc jej głos, i spytał, czy mógłby być jej w czymś pomocny.

Tak, może posłać którąś z pracownic do pokoju Abbey, by spakowała jej rzeczy. Tak, załaduje je do bagażnika samochodu i załatwi, by ktoś

przyprowadził jej auto do szpitala. I ma nadzieję, że Abbey odwiedzi kiedyś ponownie jego hostel. Następnego dnia samochód zajechał pod szpital.

Abbey mogła już wychodzić, więc wyjęła to, co było jej potrzebne, załatwiła garaż i postanowiła czekać.

Za trzy dni miała zostać wypisana. John na pewno już wie, że zabrano jej rzeczy i auto, plotki szybko się rozchodzą. Od kapitana dowie się, że zostanie w szpitalu do końca tygodnia. A więc teraz jego ruch. Może ją odwiedzić, może do niej napisać, może zatelefonować.

Czekała - najpierw z nadzieją, a w miarę upływu czasu z rosnącym przygnębieniem. John nie dawał znaku życia. Ostatniego popołudnia siedziała w ogrodzie przyszpitalnym, załatwiając przez komórkę różne sprawy. Pod koniec dnia zaczęła następny etap swego nowego życia.

Zatrzyma się na kilka dni w hotelu. Potem zostawi samochód na hotelowym parkingu i poleci na Florydę do rodziny brata. Weźmie tylko niewielką torbę podróżną. A kiedy wróci do Aberdeen, „Hilda Esme” będzie już daleko.

Ortopeda, wręczając jej wypis, jeszcze raz przypomniał, że ma się oszczędzać. Powiedział jej też, że Perry, mężczyzna, którego operowała, dzięki niej szybko wraca do zdrowia. Abbey wzięła taksówkę i udała się do hotelu. Postanowiła nie oglądać się za siebie, lecz myśleć o przyszłości. Być może jej start w nowe życie nie był specjalnie udany, ale czegoś się nauczyła. A każde doświadczenie się przyda.

Rano, po nocy spędzonej w hotelu, przypomniała sobie, że ma być panią samej siebie i robić to, na co ma ochotę. A więc pojedzie po raz ostatni do Dunlort.

Poprosiła taksówkarza, by zatrzymał się na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na port. Zobaczyła na redzie „Hildę Esme”, a obok niej dużą barcę, na której składowano beczki z olejem wydobyte z dna. Najwyraźniej

płetwonurkowie zakończyli pracę. Wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty na spotkanie z żadnym z nich.

Wysiadła w pobliżu miasteczka i postanowiła udać się na spacer do swojego ustronia, tam, gdzie spędziła tyle spokojnych chwil i gdzie przeżyła największą rozkosz w życiu. Usiadła na kamieniu i popatrzyła przed siebie na wznoszący się na wzgórzu zamek. Zamyśliła się. Gdzie będzie za rok o tej porze? Dokąd zaprowadzi ją życie? Czy spotka drugiego Johna? Chyba nie.

Nagle jej uwagę zwrócił szelest liści i odgłos kroków na kamieniach. Ktoś chce się wdrzeć do jej samotni...

- Witaj, Abbey - usłyszała głos Johna. Wyglądał tak samo, a jednak był jakiś inny. Te same najciemniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała, włosy w nieładzie, wysportowana sylwetka. Ten sam ubiór - białe spodnie i niebieska koszulka polo. A jednak jego twarz się zmieniła. Wydawała się szczuplejsza, a oczy miały czujny wyraz, jakby dopiero co odkrył jakąś przykrą prawdę.

- Co ty tu robisz, John? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Widziano cię w mieście. - Wzruszył ramionami. - Wiesz, że wieści w miasteczku szybko się rozchodzą, od razu się dowiedziałem. I domyśliłem się, że będziesz tutaj. Nie masz mi za złe, że... przyszedłem?

- Skądże - odparła uprzejmie. - Może usiądziesz?

- Przesunęła się nieco, by zrobić mu miejsce.

- Jak ręka? - spytał. - Widzę, że jeszcze nosisz ją na temblaku.

- Na wszelki wypadek. Ale już wszystko w porządku. Złamanie było dość skomplikowane, ale obyło się bez powikłań. A jak ty się czujesz?

- Dobrze - odparł bez większego przekonania.

- Jakie masz plany?

- Lecę do rodziny na Florydę. A potem... sama jeszcze nie wiem. Mam pewne sprawy do załatwienia w Londynie. Myślę, że może będę szukać pracy tutaj.



- Tutaj? - zdziwił się John.

- W Szkocji.

Co się z nami dzieje? - krzyczał jej głos wewnętrzny. Oboje myślimy o tym samym, a prowadzimy nudną, nijaką rozmowę jak dwoje przypadkowych znajomych. Przecież byliśmy kochankami! Razem narażaliśmy życie!

- A ty gdzie chcesz pracować? - spytała, nie mogąc zdobyć się na nic więcej.

- Zaproponowano mi kontrakt w Australii i w Zatoce. Brzmi to nieźle. Mógłbym też zatrudnić się tutaj, w Szkocji. Pieniądze nie są wprawdzie takie duże, ale za to jest to stały angaż.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. John patrzył na nią z taką tęsknotą w oczach, że od razu odgadła jego uczucia. Ale jak skłonić go do wyznań?

Spojrzała w dół na literkę M wytatuowaną na kostce.

- Mickowi bardzo imponowało, że ukończyłaś ten wyścig - powiedziała. - Opowiedz mi o tym.

- Po co? - zdziwił się.

- Jestem po prostu ciekawa. Dowiem się o tobie czegoś więcej.

Nie spytał, dlaczego chce wiedzieć o nim coś więcej. Zwrócił wzrok ku morzu.

- Dobrze, opowiem, jeśli chcesz. To chyba najcięższy wyścig na świecie. Kosztował mnie więcej wysiłku, niż się spodziewałem. Odbywa się na Hawajach, w miejscowości Kona - mówił. - Bierze w nim udział dwa tysiące mężczyzn, ale nie wszyscy go kończą. Zaczyna się od zawodów w pływaniu na dystansie dwu i pół mili. Ważne, żeby dobrze wystartować. Potem jest jazda na rowerze, sto dwanaście mil. A na koniec normalny maraton.

Abbey skrzywiła się. Raz miała dyżur podczas maratonu i wiedziała, ile wysiłku kosztuje taki bieg. A do tego pływanie i jazda na rowerze.

- To jeszcze gorsze, niż może się wydawać - ciągnął John. - Na Hawajach jest duża wilgotność. Pocisz się i pijesz, pijesz i się pocisz. Jest bardzo gorąco,

ponad trzydzieści stopni w cieniu. A słońce odbija się od skał wulkanicznych, co jeszcze wzmacnia poczucie upału. Gdy jedziesz na rowerze, na ogół wiatr wieje ci prosto w twarz.

- Ile czasu ci to zajęło?

- Trzydzieści godzin, dwadzieścia siedem minut i czterdzieści osiem sekund. Wspominam o sekundach, bo i one potrafią się wlec.

- A powiedz mi teraz, co czułeś?

- Co czułem?

- Taki maraton na przykład wymaga od zawodnika połączenia siły fizycznej i psychicznej. Więc powiedz mi, co czułeś.

- Nie lubię mówić o swoich uczuciach.

- Wiem.

- Byłem dobrze przygotowany - zaczął po chwili namysłu. - Trenowałem przez dwa lata, co najmniej siedemnaście godzin tygodniowo. Więc na początku szło mi łatwo, dobrze się bawiłem. Tak było mniej więcej do chwili, kiedy znalazłem się na półmetku i uświadomiłem sobie, że muszę zrobić jeszcze raz to samo, co właśnie skończyłem. I wtedy już było coraz gorzej. Masz rację, to sprawa psychiki. Nie tracisz jeszcze tchu, nogi cię niosą, ale wszystko wydaje się beznadziejne, bezsensowne. Nie wiesz po prostu, po co to robisz. Pod koniec wyścigu jesteś ugotowany, ciało odmawia ci posłuszeństwa, umysł przestaje pracować. Nic cię już nie obchodzi, nic już nie ma znaczenia. Ale nie zatrzymujesz się, idziesz dalej...

- To była najcięższa rzecz, jakiej dokonałeś w życiu? - spytała Abbey.

- To była najcięższa rzecz, jaką mógłbym sobie w ogóle wyobrazić.

- Posłuchaj, jeśli mogłeś narazić swoje ciało i psychikę na taką męczarnię, to dlaczego tak trudno ci powiedzieć, co do mnie czujesz?

- Nie rozumiem?

- Wiesz dobrze, o czym mówię. - Abbey potrząsnęła go za ramię. -

Wiedziałeś, że tu będę. Więc po co przyszedłeś? I nie opowiadaj mi bzdur, że

chciałeś się pożegnać, bo ci nie uwierzę. I dlaczego nie odwiedziłeś mnie w szpitalu?

- Myślałem... myślałem, że nie chcesz mnie widzieć.

- To kłamstwo i doskonale o tym wiesz! Rozpaczliwie pragnęłam cię zobaczyć. Pamiętałam, jak ocknęłam się na platformie, a ty głaskałeś mnie po twarzy. Chciałam, żebyś mnie odwiedził, a ty nie przyszedłeś.

Była wściekła, ale gdy zobaczyła jego zatroskaną twarz, jej złość minęła.

- Myślałam, że niczego już nie musimy sobie wyjaśniać, ale najwyraźniej się myliłam. A więc zrobmy to teraz. Po pierwsze, istnieje prawdopodobieństwo, że do śmierci Micka przyczynił się w pewnym stopniu mój list. Ale już się z tym uporałam, to sprawa zamknięta i nie stanowi dla mnie problemu. A dla ciebie?

- Cóż, nie... ale... - bąkał John.

- Żadnych ale. Po drugie, wiesz, że nie jesteś odpowiedzialny za śmierć Micka i że nie miałeś żadnego powodu, żeby tak myśleć. Prawda?

- Cóż, tak, sądzę...

- Po trzecie, Mick nie żyje. Wdowa po nim i jego przyjaciel mogą mieć własne życie.

- Tak, Abbey, mam już to wszystko za sobą i...

- Po czwarte, twierdzisz, że jesteś samotnikiem. Może i tak. Ale masz inną możliwość i od ciebie zależy, co wybierzesz. - Abbey wstała. - Pójdę już. Kiedy znajdę się na ścieżce, zniknę na zawsze z twojego życia i nigdy już się nie spotkamy. Jeśli jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć, żeby mnie zatrzymać, masz teraz ostatnią szansę.

Ruszyła wzdłuż klifu, zanim John zdążył otworzyć usta. Serce jej waliło. Zaryzykowała, stawiając wszystko na jedną kartę, i wygląda na to, że przegrała.

- Abbey, proszę, nie odchodź - usłyszała nagle głos Johna.

- Dlaczego? - Stanęła, ale się nie odwróciła.

- Bo... - Nastąpiła przerwa, którą można było mierzyć w sekundach albo w latach. - Bo... ja cię kocham.

Teraz dopiero odwróciła się i podeszła do niego.

- To nie było trudne, prawda? - zauważyła. - Ale musisz nabrać wprawy, powtarzać mi to każdego dnia. Ja też cię kocham, John. I będę ci to mówić codziennie.

Pocałował ją.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosiła.

- Kocham cię, Abbey.

- Dobrze. Wiesz, trudno się rozebrać, mając rękę na temblaku. Możesz mi rozpiąć sukienkę?

Leżeli obok siebie w ciepłych promieniach słońca. John obejmował ją, Abbey wtuliła się w jego ramię.

- Jeśli chcesz wędrować po świecie, będę ci towarzyszyć - oznajmiła. - Możemy pojechać wszędzie.

- Zjeździłem kawał świata. Co byś powiedziała, gdybyśmy zakończyli wędrowkę na Szkocji? Zaproponowano mi pracę na kursach dla pletwonurków.

- O, nieźle. Myślisz, że potrzebują lekarza?

- Możliwe. Teraz wierzę, że wszystko jest możliwe.

KONIEC